



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—

Rok IX

Warszawa, 13 września 1953 r.

Nr 37 (407)

Andrzej KRASIŃSKI

Francuskie paradoksy

TO co szczególnie silnie uderzyć musi każdego, kto z naszego świata udaje się do obecnej Francji — to wrażenie staroświeczyny odczuwane na każdym kroku i niemal we wszystkich dziedzinach życia. Wrażenie to jest równie silne jak nieoczekiwane, przywykliśmy bowiem od dawien dawna uważać Francję za kraj twórczego fermentu i niewątpliwie cywilizacyjnie pod wieloma względami ciągle jeszcze Francja znacznie nas wyprzedza. Przypomnij sobie jednak, że ogromna motoryzacja, luksus sklepów, wielkich bulwarów i cały pelen wielkomięski rozmachu Paryż — to wyłącznie pozór, to udająca nowoczesną fasadą przyklepiona sztucznie do przestarzałej, polatanej i pekającej budowli.

Staroświeczyna? Przywykliśmy określać tym mianem różnorodnie i nie dające się sprowadzić do jakiejś wspólnej oceny zjawiska. Na ogół nie ma się pretensji do swoich dziełków za to tylko, że byli staroświeccy. To nie tylko ich prawo, ale i w jakiejś mierze ich zadanie w stosunku do przyszłych pokoleń. Ich odmiennosć określa nas samych i lepiej umieszcza nas w czasie, który tylko w gramatyce może mieć określoną formę teraźniejszą, zaś w życiu jest ustawiczną przemianą przeszłości w przyszłość. Te fotografie osób przybierających niedzisiejsze pozy w zdeformowanych ramach znaczą w jakiś sposób przebyta drogę i jak gdyby kierują ją dalej ku przyszłości.

Ale bynajmniej nie o tej nieszkodliwej (a nawet często przydatnej) staroświeczności myślałem mówiąc o Francji. Tam przejawia się ona całkiem odmiennie. Miejsce fotografii dziadka zajął fotos filmowej gwiazdy, a zewnętrzna nowoczesność tej dekoracji podkreśla tylko faktyczny bezruch i zastój istotnych dla życia procesów.

FRANCJA PRZECIWKO FRANCUZOM

FRANCUZI i Francja. Trudno chyba znaleźć kraj, w którym zestawienie pojęcia narodu i aktualnej formy jego zbiorowej egzystencji, byłoby bardziej niewspółmierne i paradoksalne. Trudno o bardziej jaskrawy przykład biegunowej sprzeczności pomiędzy wolą i aspiracjami obywateli a drogą, jaką niezmiennie kroczy kraj od wielu lat. Trudno spotkać Francuza, który by nie był zasadniczo i bezkompromisowo przeciwny wojnie w Vietnamie, który by nie oburzał się na antyrobotniczą politykę rządu, który by wreszcie szczerze i zdecydowanie nie był pokojowo nastawiony. Równocześnie z licznymi zmieniającymi się rządami każdy następuje coraz bardziej jawnie i kategorycznie przeciwstawia się tym zasadniczym postulatami woli narodu.

Przybyszowi trudno zorientować się jak możliwa jest ta antynomia w kraju, którego imię zrosło się ze sprawą wolności i gdzie bądź co bądź funkcjonują stare instytucje parlamentarne. Ale wszystko to nie ma znaczenia. Tak jak niewiele mówią o prawdziwym życiu Francji

ogromne, olśniewające neony umieszczone na starych ruderach czynszowych, tak i pozornie okazały choć zmurszały gmach parlamentaryzmu nie ma żadnego wpływu na aktualne losy Francji. Pieniądz jest jedyną sprężyną oficjalnej polityki francuskiej. Parlamentarzyści i ciągle zmieniający się ministrowie, to w istocie funkcjonariusze pieniądza.

Francuzi zawsze z wielkim zamiłowaniem i umiejętnością kpili sobie ze swych rządów. Ale dawniej w najostrzejszych docinkach można było doszukać się czegoś z pobłażania i sympatii. Tak jak uczniowie podchwytyjąc śmieszności i obdarzając przewiskami swych profesorów nie zaprzeczają konieczności ich istnienia ani ich użyteczności, tak i naród francuski dawniej dobroduszenie śmiał się ze swych ministrów i deputowanych.

Dziś miejsce kpiny zajęła najwyższa pogarda. I rzeczywiście zasługują na nią ci „ojcowie Francji“, którzy uchwalając raz po raz podwyżki uposażeń poselskich równocześnie robiąc wszystko co możliwe, by nie dopuścić do podwyższenia płac robotniczych. Jeżeli jednak za coś te podwyżki należą się prawniczym parlamentarzystom, to za posunięta do ekwilibrystyki sztuki elokwencji. Sztukę tym trudniejszą, że trzeba ukryć przykrą dysproporcję między formą a treścią, między słowem a pojęciem. Piękny język Bossueta do-

Józef BIENIEK

skonałe nadaje się do tego rodzaju „formalizmu“. Oczywiście odbywa się to kosztem przysłowiowej jedności łacińskiej, ale tę odnajdziemy zupełnie gdzie indziej — na pewno nie w parlamencie ani w ogóle w polityce.

O WARTOŚCI SŁÓW

BYŁOBY daremnie doszukiwać się jasności w oficjalnej polityce francuskiej, gdzie „socjalista“ Moch jest synonimem antyrobotniczego terroru a „nacjonalistycznie“ nastawiona prawica dobrowolnie oddaje kraj w ręce obcego mocarstwa. Etykiety, którymi określa się meżów stanu i kierunki przez nich reprezentowane, straciły od dawna jakikolwiek znaczenie.

Co gorsza, słowo „wolność“ przestało cokolwiek oznaczać w ustach francuskich polityków. Ta tragiczna sytuacja z natury wywołuje przywołanie na myśl osiemnastowieczną tragedię Polski, kiedy to jedna anachronistyczna i zakłamana koncepcja wolności dawała autentyczne, bo dostosowane do ówczesnego układu sił społecznych i ekonomicznych, dążności do wyzwolenia człowieka.

Bo „wolność“ przestaje być sobą, gdy zaczyna kłamać postępowi.

Zarówno wspomnienie bolesnych kart naszej historii, jak baczniejsza analiza aktualnej sytuacji Francji przydałaby się tym jeszcze dość licznym u nas obrońcom „wolności“, któ-

rzy nieraz w dobrej wierze chcieliby po nią sięgnąć wstecz i którzy ludzą się, że w przeszłości znajdą dla niej gotową formułkę.

W przykładzie Francji nie znajdują oni motywacji dla swych desperackich wierzeń. Tam bowiem bardziej niż gdziekolwiek indziej widoczne jest, że sprawa wolności człowieka nie spoczywa w rękach tych co deklamują i co strzegą swojej wolności jak „żrenicy oka“, ale w rękach tych co budują i tworzą nowe wartości a — w sytuacji Francji — w szczególności w rękach tych co walczą i protestują.

PRAWDZIWA I FAŁSZYWA HIERARCHIA

JAK lotnik czy turysta w mgłę traci orientację i nie jest w stanie wyczuć, czy obniża czy też wznośi się w górę, tak i w tej mgłę francuskiego życia zbiorowego łudząca i całkowicie fałszywa jest konwencjonalna hierarchia szczebli społecznych. Gdy odwołamy się od hałaśliwego centrum Paryża ku peryferiom — gdy schodzimy rzekomo w dół po szczeblach drabiny społecznej — dopiero wówczas odnajdujemy prawdziwą Francję. Spotykamy tam nie tylko ludzi sympatyczniejszych i bardziej autentycznych, ale przede wszystkim inteligentniejszych i bardziej twórczych, ludzi zdrowych, zwróconych ku przyszłości. To tu odnajdziemy tę jedność łacińską, któ-

rej daremnie szukalibyśmy w enuncjacjach parlamentarnych. Tu spotkamy robotników, którzy są prawdziwymi spadkobiercami całej wielkiej przeszłości Francji. Nie dlatego, żeby poświęcał się historycznym dociekaniom. Ale dlatego, że mają jasną, krytyczny sąd na to co się dzieje wokół nas dzieje i poczucie odpowiedzialności za przyszłość. Dlatego zaś przede wszystkim, że oni jedni mają siłę i odwagę protestować przeciwko tragicznemu widowisku naigrywania się z wolności przez pieniądze i jego rzeczników.

I tak stają naprzeciw siebie dwie koncepcje i dwa ideały wolności. Jedna wolność sklepikarza, któremu obojętny jest postęp czy cofanie się zbiorowości, byle by miał swobodę czerpania jak największych zysków. I druga wolność przeżywana społecznie, która nierozdzielnie związana jest z awansem najszerszych mas ludności, z postępowiem i rozkwitem całego kraju. Wolność wykluczająca bezruch i cofanie się, którą trzeba wciąż na nowo zdobywać, która wymaga wyrzeczeń i walki podjętej we wspólnocie i dyscyplinie społecznej.

Być może ten obraz dwu przeciwnych obozów, na które rozdzieliła się Francja, wyda się wielu czytelnikom zbyt czarno biały, zbyt schematyczny i sloganowy. Niewątpliwie też wielu Francuzów zupełnie inaczej ocenia układ sił w swoim kraju. Bo zjawis-

(Dokończenie na str. 2)

Żniwa w górach

SPECYFICZNE właściwości klimatyczne ziem górskich na południu Polski sprawiają, że gdy w dolinach o żniwach już zapomniano — tu na Podhalu i Podkarpaciu dopiero się one zaczynają.

Jest koniec sierpnia. Na północy pola są szare i puste, ten i ów z bar dziej niecierpliwych gazdów rzucił już pierwsze ziarna jesiennego siewu, wście rozbrzmiewają szumem młocarni, a długie kolumny wozów śpieszą przed punkty skupu, wioząc swą powinność wobec państwa i miasta. Tu zaś łagodne zbocza i doliny górskich osiedli połemkowszczyzny dopiero teraz zaczynają zarastać rzędaniami kop i brogów.

Zaczyna się to od żyznych pasów biegnących samym dnem dolin, gdzie koncentracja promieni słonecznych, zacisze i spłukiwane ze zboczy elementy nawozowe przyspieszają rozwój i ich dojrzewanie. Z każdym jednak metrem wzniesienia klimat staje się ostrzejszy, wiatry bardziej zadzierzyste, a ziemia wypłukiwana deszczem lichsza, co utrudnia wegetację, obniża plony i opóźnia zbiory.

Pną się więc żniwa górskie powolutku coraz wyżej i wyżej, aby wreszcie, niekiedy dopiero w drugiej połowie września, dosięgnąć ostatnich łąk leżących wysoko na grzbiecach wzgórz.

— Całe życie myślałam — mówi stara Solakowa — że im wyższa gó-

ra, tym bliższa słońca, a więc cieplej i zboże wysoko zasiane winno najwcześniej dojrzeć...

Tak myślała Solakowa, młodość bowiem swą, dla innych czas nauki, spędziła na pastwisku, widząc szkołę tylko wtedy gdy... gnała koło niej bydło. Solakowa pochodzi z dolin, gdzie była najpierw sierotą, później służącą, a wreszcie komornicą bez chaty i bez ziemi. Gospodynią została dopiero w roku pańskim 1948, a własnym 49. otrzymując na terenach połemkowskich 6 ha i ładne zabudowania.

Stoi teraz z sierpem w ręku na kraju stajania i znac powalone wicherami zboże delektuje się poczuciem zdobytego człowieczeństwa. Obok męża z córką, dorodną Marysią, koszą jęczmień okłapy pod ciężarem kłosów.

Trochę dalej, za kretym pasemkiem pnącej się ku szczytom drogi, poprzez szerokie spółdzielcze pola kroczy zielony „Zetor“, a za nim — jak góralka za tancerzem — kraży żniwiarka, tnąc nieznaną tu kiedyś pszenicę. Jeszcze dalej, za rzeką i granicą, po słowackiej stronie taki sam zielony „Zetor“ ciągnąc taką samą maszynę huczy rozgłośnie rytmem przyjacieli. „Nie zna granic ni kordonów“ — kojarzy się z traktorem braterstwem refren znanej pieśni.

Huk motorów brzęczy jak wezwanie — donośnie, zachęcająco i u-

porczywie — niepokoi Solakową. Raz po raz spogląda w tamtą stronę i potrząsa głową, jakby odegnać chciała uprzykrzoną myśl, a wreszcie podnosi się, ociera zroszone potem czoło i nie pytana nawet mówi:

— Całe życie byłam dziadówką. Nie miałam nie prócz nędzy i oprócz marzeń, które wydawały się nigdy nieosiągalne, aby kiedyś w życiu zdobyć to, co dla człowieka ze wsi posiada najwyższą wartość — kawałek ziemi i własny dach nad głową... I gdy nareszcie marzenia mają stały się rzeczywistością — chciałam jak najdłużej nacieszyć się upragnioną pozycją gospodyni na własnym... Więc się nie dziwicie i nie miejcie mi za złe, że jeszcze nie jestem z nimi — z gromadą.

Nie dziwię się, dzielna gospośiu. Rozumiem bowiem aż nadto dobrze twą miłość ku ziemi, sam chłop, choć bez ziemi. I nie mam ci nic do wyrzucenia, bo wiem, że twój — choć samotny ale owocny i wytrwały — wysiłek również potrzebny jest ojczyźnie. A gdy dojrzysz i zrozumiesz, że wspólnym też się cieszyć można, jak własnym — na pewno podasz tamtym ręce, dzieląc z nimi trud i jego owoce.

TRAKTOR na spółdzielczym polu przeszedł ostatni pokos i zjechał na drogę tuż przed półką Solaków. Z maszyny zeskoczył opa-

lony na malaja brygadzieta krynickiego POM-u — Ligaszewski.

— Szczęść Boże — krzyknął wesoło gromadce Solaków i przywitałszy się zagadnął jak na prawdziwego brygadziestę przystało:

— Rzucilibyście już raz tę mordogę. Patrzenie, jak tam se ino snopczki na kupę składają, za chwilę podjedzie ku nim młocarnia i będzie po robocie. A za rok, gdy nasz POM otrzyma radzieckie kombajny, które od razu koszą i młocą — nawet tego spółdzielcy robić nie będą.

Ale stara, która wytrzymała nie jeden taki argument, popatrzyła młodemu w jarzące się ślepią i krzyknęła na peły groźnie, na poły żartobliwie:

— Nie kuś diabłu, bo nic nie wskórasz. Nie powiedziałam, że do spółdzielni nie przystąpię, ale mam czas. Zobaczą wcześniej, co Wy nawojujecie. Na razie czekam i patrzę.

NIE ona jedna. Prawie we wszystkich gromadach gmin Muszyne i Tylicz spółdzielnie produkcyjne istnieją i pracują. Ale oprócz zrzeszonych jest w każdej gromadzie wielu takich, którzy gospodarując samotnie czekają i patrzą. Patrzą uważnie i pilnie, spazreni w swym trudnym życiu nie raz i nie dwa, więc ostrożni i nieufni. Nie uznają żadnych argumen-

(Dokończenie na str. 9)

Francuskie paradoksy

Dokończenie ze str. 1

ka klasowe są niedostrzegalne z punktu widzenia mieszczańskiego świata pojęć — nie widać ich wcale z wewnątrz, z pozycji mieszczańskich. Burżuazja najczęściej wcale nie przeżywa poczucia solidarności ze swoją klasą, działa wyłącznie egoistycznie i wydaje mu się, że jego klasa jest fikcją. A jednak obiektywnie wszystkie te indywidualne egoizmy wyznaczają bardzo ściśle interesy klasowej grupy.

Trzeba tylko spojrzeć na te zjawiska z zewnątrz, spoza obrębu ideologii mieszczańskiej, a współczesne procesy socjologiczne zarysują się wyraźnie i jasno. Szczególnie dla zrozumienia pozornie skomplikowanej sytuacji politycznej we Francji ten klucz jest niezbędny. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że mimo bezustannych zmian gabinetów, mimo różnorodnych zdawałoby się programów poszczególnych partii i mimo wyczerpania wszystkich możliwych koalicji parlamentarnych — w istocie nie się we Francji nie zmienia, żaden ważny dąży do życia kraju problem nie znajduje rozwiązania. Bo istota zła tkwi nie tyle w ministrach, co w strukturze, w całym mechanizmie, którego ten minister jest tylko częścią. I nie ministra, ale mechanizm trzeba zmienić, aby ruszyć z martwego punktu. Dlatego w tak diametralnie przeciwnych kierunkach rozszły się drogi tych dwu obozów politycznych i dwu zarazem koncepcji życia. I dlatego też jedyny rzeczywisty, posiadający walor protestu przeciwko rozkładowi Francji podniosła klasa robotnicza i jej coraz liczniejsi sojusznicy.

ZAMACH NA WARTOŚCI NARODOWE.

NIE podobna w panującym ujęciu dać pełnego obrazu walki tych dwu koncepcji, która rozgrywa się na wszystkich odcinkach życia. Aby jednak nie pominąć tego co najważniejsze, trzeba wspomnieć o istot-

nym i decydującym aspekcie tej walki — o obronie francuskich ideałów narodowych.

Tak jak mieszczańska retoryka wolnościowa zwraca się przeciwko wolności, tak i retoryka nacjonalistyczna zwróciła się przeciwko narodowi. Niedawna kompromitacja nacjonalizmów była jednak zbyt jasna, by nie dostrzegł jej francuscy szermierze szowinizmu narodowego. Racjonalistyczna i krytyczna Francja zawsze zresztą trudniej niż inne kraje przyjmowała małe nawet dawki tej niebezpiecznej narkozy. Tylko krótki okres Vichy dał sposobność do podniesienia głowy tego, pożałujcie Bóg, nacjonalizmu, którego nici trzymały w rękach hitlerowskie Niemcy. Dziś ci sami ludzie (nie tylko ci sami w znaczeniu podobnego typu psychicznego, ale często nawet te same osoby) porzucili frazeologię narodową i mówią obecnie tylko o „wielkich całościach państwowych“ jako elementach budowy porządku na świecie. Mówią o Europie jako o jednolitym organizmie politycznym. Łatwość i szybkość zmiany dostarcza tylko nowego argumentu za tym, że ideologia nacjonalistyczna tak jak ideologia atlantycko-europejska — to tylko narzędzia, to tylko różne oblicza tej samej ideologii mieszczańskiej, która w niezmiennym celu zachowania dawnego układu sił społecznych gra na tych lub tamtych strunach.

Każdy współczesny człowiek musi być zwolennikiem współpracy i daleko posuniętego zbliżenia międzynarodowego. Cała cywilizacja współczesna to zbliżenie umożliwia i zarazem domaga się jego. To jednakże, co głoszą i często usiłują dokonać realizatorzy europejskiej „wspólnoty“, ma wszelkie cechy karykaturalnego odwrócenia do góry nogami prawdzi-

wych tendencji historycznych naszej epoki. „*Qui n'a pas l'esprit de son temps a tous les malheurs de son temps*“.

Istotnie politycy „europejscy“ nie mając zrozumienia dla ducha swojej epoki ucieleśniają wszystkie nie-szczęścia i błędy tej epoki. Wydaje im się, że Francja wtedy stanie się „europejską“, gdy przestanie być francuska. Usiłowania w tym kierunku widać na każdym kroku i we wszystkich dziedzinach życia. Chętnie również powołuje się przy tej okazji na jedność kulturalną obszaru dawnego rzymskiego imperium lub państwa Karola Wielkiego. Jeden z rozmówców zupełnie poważnie oświadczył mi w rozmowie, że czuje się spadkobiercą nie przeszłości Francji, ale państwa rzymskiego. Ubawio ny tym, odparłem, że nie mogę tego wyrzucenia traktować inaczej jak jako świadectwo jego indywidualnego gustu oderwanego od faktów historycznych i socjologicznych; a gdy dalej próbowałem mu tłumaczyć, że przecież przede wszystkim dlatego chyba czuje się związany z kulturą rzymską, że jest Francuzem — nie był w stanie zrozumieć moich obiekcji. Łączył w sobie — co jest charakterystyczne dla burżuazji — zainteresowania historyczne z zupełnym brakiem zrozumienia sensu historii i umiejętności wyciągania wniosków z jej przebiegu.

Szczytowy, urastający do miary symbolu przykład maltretowania historii przez wpływ ideologii wspólnoty europejskiej, to Louvre. W tym narodowym muzeum to co było chlubą Francuzów — galeria sztuki francuskiej od paru miesięcy przestała

istnieć. Obrazy składające się na nią zostały wstydliwie roztasowane pomiędzy dzieła różnych szkół i różnych narodów, co ma wykazać odwieczną jedność Europy.

Ten fakt nie wymaga komentarzy i lepiej niż długie wywody oddaje tępotę tego kosmopolityzmu, który szaleje we Francji nie omijając najbardziej niebezpiecznych zdawałoby się dzieł.

Nie wspominam tu o faktach znanych powszechnie z prasy a świadczących o ekonomicznym uzależnieniu Francji i o faktycznym obywatelstwie jej politycznej niezależności, tak jak nie widzę konieczności rozwodzenia się o wyraźnym celu tych wszystkich zabiegów, które nie ograniczają się do stworzenia samej Europy. Chodzi bowiem w rzeczywistości o włączenie jej do agresywnego militarne systemu amerykańskiej polityki. Co do tego, rzecz jasna, nikt nie może mieć wątpliwości. I nie ma też wątpliwości naród francuski.

Ale jedyny sprzeciw, jedyny realny opór przeciwko tym usiłowaniom można dostrzec w warstwach ludowych. Tam tkwią istotne źródła poczucia narodowego i tam znajdują się obrońcy narodowych wartości. Wśród ludzi, którzy nie dyletancko filozofują na temat narodu, ale którzy swą pracą budują jego dobrobyt i jego przyszłość.

TRUDNOŚCI I NADZIEJE KATOLIKÓW

KATOLICY francuscy podlegają rzecz jasna tym samym prawom i tym samym procesom co reszta społeczeństwa. Również i wśród nich dostrzec można wyraźnie to zjawisko (o którym była mowa wyżej) kielkowania i dojrzewania młodych, społecznie twórczych i niezwykle cennych sił. W obecnej jednak chwili nie ujawniają się one jeszcze w stopniu odpowiadającym ich rzeczywistemu walorowi. Postępowy społeczny nurt w katolicyzmie francuskim natrafił na swej drodze szybkiego rozwoju na zahamowanie wynikłe z nieufności a nawet czasem wręcz nieprzychylności niektórych spośród kierowników Kościoła we Francji. Konflikt ten wynika z różnej oceny aktualnej sytuacji politycznej, przede wszystkim z odmiennej oceny wartości moralnej sił społecznych działających w chwili obecnej w świecie.

To rozdwojenie nie jest jak wiemy jakimś zjawiskiem specyficznym francuskim; istnieje ono niemal wszędzie, gdzie działają siły społeczne katolickie, które zdecydowanie odchodzą od burżuazyjnych pozycji ideologicznych stając na gruncie obrony praw klasy robotniczej. Trudność w rozumieniu się dwu kierunków myśli i działania społecznego katolików polega na tym, że ci, którzy stoją na gruncie tradycyjnej, solidarystycznej koncepcji społecznej, nie widzą, a w każdym razie twierdzą, że nie widzą faktu, iż ta koncepcja jest klasowa, bo w sytuacji aktualnej służy burżuazji. Równocześnie stojąc na tym gruncie wytykają swym przeciwnikom stanowisko klasowe po stronie klasy robotniczej, utrzymując, że jako klasowe jest ono niezgodne z ideałami chrześcijańskimi.

Drugi zarzut, którzy tradycjonalisci rzucają pod adresem katolików społecznie postępowych — to popieranie kierowanego przez ateistów ruchu robotniczego, którego zwycięstwo przysporzyć musi Kościołowi ogromnych trudności. Zarzut ten nie liczy się z faktem, że dla tych wszystkich, którzy rychłe zwycięstwo socjalizmu, widzą jako nieuchronną historyczną konieczność, jedyną skuteczną formą służby Kościołowi jest budowanie swą aktywnością społeczną podwalin egzystencji tegoż Kościoła w nowym świecie.

Zaznaczyć trzeba, że ta trudna, bo polegająca na podstawowym nie-

zrozumieniu, polemika jest we Francji stosunkowo łatwiejsza niż gdzie indziej. Z jednej strony dzięki wysokiej kulturze intelektualnej, z drugiej strony dzięki tradycji wolności oraz nieingerencji Kościoła w sprawy ściśle doczesne.

Mimo to jednak byłoby złudzeniem mniemać, że ta polemika zostanie rozstrzygnięta w teoretycznej wymianie myśli. Rozstrzygnie ją niezawodnie — i już dziś ją rozstrzyga, co starałem się ukazać wyżej — fakt gromadzenia się po stronie klasy robotniczej wszelkich sił i wszystkich ludzi najlepszych, zdrowych i twórczych.

Mówiąc o społecznym i politycznym obliczu świata katolickiego we Francji nie podobna pominąć milczeniem tego dość nowego i mało francuskiego fenomenu, jakim jest M.R.P., — partii politycznej stanowiącej odpowiednik chrześcijańskich demokracji w innych krajach. Do momentu uwolnienia Francji po ostatniej wojnie nie wydawało by się mogło, że XIX wiek, który będąc okresem trudnym i równocześnie pod tyłoma względami dla katolików francuskich — do brocznym, wyleczy ich raz na zawsze z pokus wyznaniowej aktywności politycznej. Niestety stało się inaczej. W działalności M.R.P. odnajdujemy najbardziej odrażające cechy tzw. „katolicyzmu politycznego“, który z takim powodzeniem potrafił za jednym zamachem kompromitować i katolicyzm, i politykę.

Nie ma tu miejsca na analizowanie tego bardzo zresztą niejednolitego ruchu, dla pełni obrazu trzeba przynajmniej w paru słowach wspomnieć o tym nowym dla katolicyzmu francuskiego niebezpieczeństwie. Dziś po niedługim czasie istnienia M.R.P. spotkać już można we Francji bardzo licznych katolików, których poglądy polityczne są domeną irracjonalnych wierzeń, a których religia polega głównie na pewnej swoistej polityce. Co gorsza, ta zakłamana i oparta na całkowitym bałamuctwie płaszczyzny religijnej i politycznej postawa chciałaby pretendować do roli oficjalnej w katolicyzmie. W Europie, która jest faktycznie kierowana przez chadeckich przywódców, nawet we Francji w jakiejś mierze udaje się ta mistyfikacja.

I tu niewątpliwie jest źródło wspomnianych zahamowań w procesie rozwoju społecznie postępowych sił katolicyzmu. Trzeba jednak podkreślić, że mimo trudności ruch ten odnosi poważne sukcesy, a trudności konsolidują tylko jego wewnętrzną wartość i jakościowy walor. Liczne już doświadczenia wykazały, że spośród różnych ugrupowań przylgających się do ruchu robotniczego postępowi społecznie katolicy okazali się najlojalniejszymi i najcenniejszymi uczestnikami wspólnej walki. Nie zaś bardziej nie zacieśniał nic wzajemnego zrozumienia i obopólnego zaufania jak braterstwo wspólnego działania i wspólnej walki.

I właśnie dlatego mimo wszystko francuski katolicyzm jest stale na przedzie i katolicy francuscy jako całość są lepiej od innych zachodnich społeczności narodowych przygotowani do przyjęcia odpowiedzialności i udziału w budowie nowego, sprawiedliwego świata.

SITUACJA Francji obecnej jest niezmiernie skomplikowana i trudna. Jednak myśląc o tych trudnościach nie trzeba zapominać, że tkwią one nie w samej Francji, ale w tym co przychodzi z zewnątrz, co jest jej całkowicie obce i co zaledwie zdolne jest zabarwić jej zewnętrzny cieniutką powłokę. Zaś to wszystko co prawdziwie francuskie pozostaje niezmiernie wielkie i wspaniałe. Starałem się ukazać tę charakterystyczną dysproporcję między formą a treścią, między strukturami a prawdziwym życiem, którego te stare strukturalne formy nie są w stanie okiełznać i zahamować. Kto tę dysproporcję dostrzeże, nie wyzbędzie się napewno podziwu i ukochania Francji i z jej przyszłym losem zwiąże swe najgłębsze nadzieje.

Wypadki w Maroku

W Nr 34 naszego pisma omawialiśmy wystąpienie marszałka Juina w Akademii Francuskiej, nawołujące do stanowczych kroków w walce z ruchem narodo-wyzwolenieczym w Maroku i z czynnikami popierającymi niepodległościową partię Istiqlal. Była to propagandowa przegrzywka do przygotowywanej oddawna akcji, mającej być ostatnią próbą wzmocnienia pozycji kolonializmu francuskiego w Maroku. W drugiej połowie sierpnia br. znalazła ona wyraz w detronizacji Sultana Sidi Mohameda Ben Jussufa.

Sprawa ta ma swą długą historię. Francuskie panowanie kolonialne w Maroku oparte jest na traktacie protekcyjnym z 1912 r., mocą którego rząd francuski zobowiązał się chronić i strzec rządu dynastii szeryfańskiej przed wszelkimi zakusami z zewnątrz i z wewnątrz. Powolnie wykonujące paryskie dyrektywy rządu sultanskie, wyrażające interesy miejscowych feudalów, były najpewniejszą ostoją kolonialnej gospodarki francuskiej. Podczas II wojny światowej hitlerowcy usiłowali wygrać w swych interesach nacjonalizm muzułmański, aby podważyć pozycję Francji w Maroku. Grę tę kontynuowali Amerykanie po okupacji kraju w 1942 r., spodziewając się wykorzystania przeciwnościwa interesów burżuazji marokańskiej i francuskiej dla zdobycia tam sobie silnego stanowiska gospodarczego.

W obliczu konieczności ratowania swego władztwa kolonialnego rząd francuski był wówczas zmuszony poczynić Sultanowi Sidi Mohamedowi obietnice reform, mających zwiększyć jego realną władzę i uwzględnić aspiracje miejscowej burżuazji do współudziału w rządach. Po wojnie jednak kolejne burżuazyjne rządy francuskie nie kwapiły się z wywiązaniem się z tych obietnic. Zabezpieczwszy się przed dywersją ze strony Stanów Zjednoczonych udzielił monopolistom amerykańskim daleko idących koncesji na eksploatację bogactw naturalnych Maroka. Systematyczne odrzucanie ponawianych żądań sultana, który domagał się rozszerzenia swych uprawnień, skłoniło go w 1951 r. do szukania oparcia w niepodległościowej partii młodej burżuazji marokańskiej Istiqlal, zwalczanej brutalnie i zdelegalizowanej przez francuskie władze kolonialne.

Sułtan traktował to jako pociągnięcie taktyczne, mające zmusić rząd francuski do ustępstw. Reprezentowane przez niego czynniki feudalne, dostosowujące się do warunków gospodarki kapitalistycznej, obawiały się masowego ludowego ruchu narodo-wyzwolenieczego, lecz liczyły, że straszakiem jednolitego frontu narodowego skłonią Francję do kompromisu uwzględniającego interesy wielkiej burżuazji miejscowej. Bardziej dalekowzroczna część burżuazji francuskiej rozumiała i rozumie tę sytuację (daje temu wyraz m. in. Mauriac), ale zasklepiona w swym wąskim egoizmie klasowo-nacjonalistycznym większość, popierana gorąco przez sfery militarystyczne, nie chce słyszeć o żadnych ustępstwach.

Skrajni kolonialni francuscy, nie rozumiejący siły i znaczenia współczesnych ruchów narodo-wyzwolenieczych w krajach zależnych, upierają się przy możliwości utrzymania rządów francuskich w Maroku za pomocą stosowania tzw. tradycyjnej polityki kolonialnej polegającej na szukaniu oparcia w najbardziej konserwatywnych feudalach, na wygrzywaniu antagonizmu między półkolonizacyjnymi plemionami berberyjskimi a większością mieszkańców kraju przesiąkniętą kulturą arabską oraz na wykorzystywaniu wrogości duchowieństwa muzułmańskiego do laickiego ruchu narodowego partii Istiqlal. W ciągu ostatnich paru lat francuskie władze kolonialne usiływały wygrać te czynniki dla zastraszenia sultana oraz skłonienia go do wyrzeczenia się udzielania partii Istiqlal poparcia i szukania pomocy zewnętrznej w Lidze Arabskiej.

Głównym narzędziem tej taktyki stał się pasza Marakeszu El-Gloui, którego marszałek Juin reklamował na wspomnianym już posiedzeniu Akademii Francuskiej jako najwierniejszego i najbardziej oddanego przyjaciela Francji. Wobec niepowodzenia próby zaszantażowania Sidi Mohameda za pomocą petycji grupy szeków i ulemów należących do klienteli paszy El-Gloui, domagającej się oficjalnego potępienia ruchu narodo-wyzwolenieczego przez sultana, francuski Rezydent Generalny w Maroku, generał Guillaume, przystąpił do podjęcia akcji przeciwko sultanowi. Działając z jego polecenia El-Gloui zorganizował zjazd wyższego duchowieństwa muzułmańskie-

go, na którym proklamowano 15 sierpnia pozabawienie sultana Sidi Mohameda funkcji Imana, czyli naczelnego zwierzchnika religii muzułmańskiej w Maroku, wybierając na jego miejsce dalekiego kuzyna sultana, Manomeda Ben Arafa. Był to prawdziwy zamach stanu, gdyż tradycyjnie głową muzułmanów jest każdorazowy panujący sultan. Dla poparcia tego zamachu pasza El-Gloui zmobilizował podwładne mu oddziały plemion berberyjskich, które dopomogły kolonialnym wojskowym francuskim w krwawym tłumieniu masowych protestów ludności miejscowej przeciwko tej próbie wywołania wojny domowej.

Gen. Guillaume ogłosił natychmiast stan wojenny dla opanowania sytuacji w kraju i otoczywszy pałac sultana wojskiem zażądał od niego natychmiastowej abdykacji. Spotkałszy się z kategorycznym sprzeciwem zarządził, na polecenie rządu paryskiego, wywiezienie sultana Sidi Mohameda i jego dwóch synów na Korsykę. Działająca pod presją bagietów francuskich Najwyższa Rada Maroko dn. 21 sierpnia br. proklamowała sultanem wyżej wspomnianego Mohameda Ben Arafa. Chciano w ten sposób zachować pozory dalszych rządów dynastii szeryfańskiej.

Brutalny ten krok kolonialistów francuskich wywołał ogromne oburzenie nie tylko w Maroku, ale i w całym świecie muzułmańskim. Przedstawiciel partii Istiqlal w New Yorku oświadczył, że naród marokański nie uzna nigdy bezprawnej detronizacji sultana. Liga Arabska napiętnowała to jako nową ofensywę imperialistów na prawa narodów muzułmańskich, a przedstawiciele 16 państw muzułmańskich w ONZ zażądali od Rady Bezpieczeństwa natychmiastowego rozpatrzenia zagrażających bezpieczeństwu publicznemu działań rządu francuskiego. Bez względu na większość narodu francuskiego wypowiedział się zdecydowanie przeciwko polityce kolonialnej rządu, a nawet wśród stronnictw politycznych popierających gabinet Lanieli podnoszą się głosy protestujące przeciwko metodom prowokowania uczuć narodowych ludności marokańskiej, co zaostrza w niezmiernym stopniu sytuację wewnętrzną tego kraju.

Zygmunt LICHNIAK

KSIĘGA PRZYJAŹNI*

ZMIENIAJĄ się czasy i zmieniają się księgi. Z radością i szczerym wzruszeniem odnotować należy mądrą przemianę czasu, która niesie mądrą przemianę ksiąg. Oto jedna z ksiąg mądrej przemiany, ksiąg przyjaźni dociera do naszych rąk, które pamiętają jeszcze brzosznowe okładki złotych tomików „Sonderlehrgang“, gdzie w cyklu „Weg zur Reifeprüfung“ przed stawiano „Ostland“ jako „Lebensraum“, a „slawische Stämme“ jako „minderwertige Elemente der Menschheitsgeschichte“...

Zmieniają się czasy i zmieniają się księgi. Odrzucają od siebie fałsz, sięgają po zatajoną prawdę. Chwilami zastanawia ona swoim pięknem i swoją siłą, długo krepowaną i ukrywana przez fałszyżerzy historii. Wczytując się w stare, a tak nowe słowa przyjaźni dla Polski — czytamy księgę odkłamaną historii, odnajdujemy prawdę o sile międzynarodowej solidarności, którą wypaczyła, skoślawiła i w nienawiść usiłowała przetrwać brudna gra polityków antyludowej mniejszości.

Dlatego nowa księga przyjaźni jest dla nas i wzrużającym przeży ciem, i mądrą nauką historii.

ANTOLOGIA berlińskiego wydawnictwa „Elick nach Polen“, opracowana przez Manfreda Häckla, a poprzedzona przedmową Rudolfa Leonharda i Leona Kruczkowskiego daje wyrazisty przegląd przyjaźni, na zrozumieniu międzynarodowej solidarności opartych, wystąpień literatury niemieckiej w sprawie Polski. Jest to jednocześnie przegląd tych sił, które w historii narodu niemieckiego reprezentowały — wbrew polityce możnowładców — idee niezawisłości, wolności i pokojowego współżycia narodów, idee wolnej Polski obok wolnych Niemców, idee świata zbudowanego na fundamencie sprawiedliwości społecznej i swobody narodowej.

Ten sens antologii, jej podwójną wymowę i problemy z niej wynikające wyraźnie i przekonująco przedstawia w swojej przedmowie Rudolf Leonhard.

„Stosunek Niemiec i narodu niemieckiego do sąsiedniego narodu polskiego — pisze on zaraz na wstępie — jest poprzez całą naszą historię kamieniem probierczym naszej świadomości politycznej i w hi

* Für Polens Freiheit, 800 Jahre deutsch-polnische Freundschaft in der deutschen Literatur, zusammengestellt und herausgegeben von Manfred Häckel. Vorworte von Rudolf Leonhard und Leon Kruczkowski, Verlag „Blick nach Polen“, Berlin 1952, S. 404.



Krystyna Wróblewska
OJCZENASZ
Drzeworyty
Cena zł 36.—

J. Nowak-Dłużewski
STANISŁAW KONARSKI
Cena zł 26.—

Graham Greene
BRON NA SPRZEDAŻ
Cena zł 22.—

ARKUSZE POETYCKIE
10 Autorów
Cena zł 12.—

Paweł Jasienica
WISŁA POZEGNA ZASCIANEK
Cena zł 20.—

G. K. Chesterton
PRZYGODY KS. BROWNA
Cena zł 18.—

Wszysta Biuro sprzedaży „PAX“ Mokotowska 43. Warszawa, za zaliczeniem lub do wotacie na konto PKO nr 1-8515 z dodatkiem zł 3.— na koszty przesylki.

starym oglądzie tak to w dal szym ciągu traktować należy. To — jak władcy niemieccy ustosunkowali się do władców polskich, a przede wszystkim do narodu polskiego, to przede wszystkim, w jakim stopniu naród niemiecki podzielał stanowisko władców lub je ganił, w jakim stopniu je akceptował lub poddawał krytyce — daje najjaśniejszy i najlepszy obraz, czym były Niemcy“ (str. 6).

Oczywiście, nie wszyscy Niemcy, więcej: niewielu Niemców zdawało sobie w pełni sprawę — zwłaszcza dawniej — z tego, że losy Polski są częścią składową losów Europy, że Polska wpływa pośrednio bardzo wyraźnie na życie narodów zachodnio-europejskich. „To, że powstania polskie dwukrotnie ścigały na siebie siły zjednoczonej reakcji europejskiej i tym samym odwróciły ją w zdecydowanej mierze od zwalczania rewolucji na Zachodzie, a przede wszystkim we Francji (...) widział wtedy tylko Fryderyk Engels“ (str. 8).

Jednak — mimo to — wzajemny układ stosunków politycznych między Polską i Niemcami zawsze znajdował swoje odbicie w literaturze. „Nie ma przynajmniej w czasach nowożytnych ani jednego ujęcia historii literatury niemieckiej bez tzw. „Polendichtung“ (czyli literatury poświęconej sprawom polskim) (str. 9).

Nie ukrywa przed nikim autor przedmowy, że obok literatury przyjaźni, była literatura wrogości wobec Polski, jednak stwierdza stanowczo, że „w Niemczech twórczość wroga Polsce pozostała właściwie zawsze na marginesie literatury, była tylko oficjalną propagandą, oficjalną w sensie urzędowym, albo oficjalną w znaczeniu tym, że wyrażającą kierunek urogich Polsce organizacji kulturalnych, które były organizacjami prawie urzędowymi“ (str. 11).

Prawdę o stosunku narodu niemieckiego do Polaków wyrażał pisarze dalecy od państwowotwórczej służalczości.

I w ich twórczości należy jednak — zdaniem Rudolfa Leonharda — dostrzegać wyraźne rozwarstwienie. „Jest rzeczą oczywistą, że w niemieckiej literaturze o Polsce zarysowały się dwa kierunki, które odpowiadały podobnym kierunkom polityki niemieckiej — mianowicie, tak jak we wszystkich krajach: prawicowy i lewicowy, wsteczny i postępowy, który czasami stawał się rewolucyjnym. Jest rzeczą oczywistą, że także i tu kierunek postępowy był bogatszy, bardziej wielostronny i w ogóle o wiele bardziej wartościowy niż wsteczny“ (str. 10).

Jeszcze raz więc potwierdza się słuszność wyjściowego zdania przed mowy, stwierdzającego, że tzw. „Polendichtung“, to próba, to egzamin całej historii. „Śledząc niemiecką literaturę o Polsce z ostatnich stu pięćdziesięciu czy dwustu lat — przypomina Rudolf Leonhard — śledzimy w dokładnym pomniejszeniu historię literatury niemieckiej w ogóle, historię literatury wpisana jaką w jeden — niezwykle wieloraki i bogaty w odmiany — temat. Nie ma tu ani jednego dziesięciolecia, nie ma prawie ani jednego roku bez udziału twórczości związanej z Polską; nie brok prawie ani jednego istotnego dla literatury niemieckiej nazwiska w tym zbiorze, który jest jednocześnie księgą honorową naszego piśmiennictwa“ (str. 12).

Oddając ten zbiór w ręce czytelników niemieckich i polskich wydawcy mogli z dumą, radością i głębokim przekonaniem stwierdzić, że wiara wyrażona w ostatnich zdaniach przedmowy potwierdza się treścią zebranych przez nich dokumentów i treścią narastającej historii naszych dni.

„Sąsiedztwo Polski i Niemiec — czytamy w zakończeniu przedmowy Rudolfa Leonharda — nie jest już tylko geograficznym pojęciem. Jest podstawą trwałości naszego poczucia narodowego. Głębsza niż kiedykolwiek świadomość, serdeczniejsza niż kiedykolwiek miłość i lepsze zrozumienie wspólnoty dźwięczą w nowych tonach współczesnej literatury niemieckiej o Polsce. Ciągłe jeszcze i w literaturze istnienie Polski i nasz do niej stosunek jest dla nas kamieniem probierczym. Ale wskażal on już, co wartościowe i rzetelne, co oparte na głębokim poczuciu wspólnoty. Ten nowy ton brzmi prawidłowo w uszach i sercach polskich i niemieckich, w uszach i sercach ludzkości“ (str. 19).

Dodajmy szczerze, przyjmując tę księgę przyjaźni z rąk przyjaciół zza Odry: dzięki zebranym przez nich materiałom i dokumentom ten ten brzmi czyściej i głębiej. Dla Polaka, nawet jako tako czytającego w literaturze niemieckiej „Polendichtung“ — to, zdawało się, kilka wierszy, kilka zaledwie nazwisk. Nie ukrywajmy prawdy, bo nie my winni byliśmy jej zafalszowaniu. Pamiętaliśmy — oprócz współczesnych, które są coraz bardziej znane — najwyżej nazwiska Uhlanda, Mosena, Zachariasza Wernera czy Lorentza Millera von Koloffa.

Księga przyjaźni, którą otwieramy z radością, jest zbogaceniem naszej wiedzy o historii przyjaźni, jest uzupełnieniem ogromnej luki, którą spowodowała historia zakłamaną, a likwiduje historia zwycięska.

ZEBRANY w antologii „Für Polens Freiheit“ materiał literacki obejmuje kilka wieków istnienia naszego narodu, granice chronologiczne rozszerzone zostały ambicją ukazania jak najbogatszej bazy dokumentacyjnej. W imię tej samej ambicji Manfred Häckel, główny redaktor antologii, zrezygnował z naómiernego rygorystyki estetycznej. Obok wierszy pięknych i dojrzałych artystycznie pomieszczone no utwory mające tylko wartość dokumentu. O to przede wszystkim chodziło. Są tu — pisze Leonhard w cytowanej i omawianej poprzednio przedmowie — nie tylko utwory literackie, są tu dokumenty. Znajdują się więc w zbiorze wiersze i fragmenty prozy niższej jakości artystycznej. Jest jednak rzeczą godną uwagi, jak wyraźnie tak ważny temat dźwiga średnich często pisarzy ponad ich własny poziom, ponad nich samych. Dla wielu nawet bardzo dobrych pisarzy te manifestacje przyjaźni dla Polski są jednocześnie najwyższymi osiągnięciami stylu, rozwinięciem szczególnie bogatym ich najlepszych cech pisarskich“ (str. 15).

Troskliwie zebrany materiał — powtórzmy to raz jeszcze — sięga chronologicznie od granic dwunastego stulecia po czasy współczesne. Od pieśni najemnych żołnierzy Henryka V, wychwalaających mgstwo i odwagę Bolesława Krzywoustego — poprzez drwiny pod adresem Henryka Walecznego, wiersz pochwalny Martina Opitza na cześć Polaków gromiących wojska szwedzkie, poprzez fragmenty opery Gryphiusa, poświęconej Piastowi — duża lista utworów dochodzi do nazwisk Brechta, Kuby, Bechera, Anny Sighers, Marchwitz i innych.

W tym bogatym materiale ze szczególną wyrazistością, logiką historyczną wyodrębniają się swoje ważkością i bogactwem trzy momenty, trzy okresy. Pisze o tym Leonhard: „Ponieważ historia literatury

niemieckiej o Polsce jest bardzo silnie związana z polskimi walkami wolnościowymi, a więc z historią w ogóle, dlatego sprawa Polski nigdy nie milknąc i zawsze płynąc w głównym nurcie literatury niemieckiej trzy razy ze szczególną siłą narzuca swoją treścią i właśnie w tych trzech momentach, trzech okresach występują wszystkie ważne nazwiska literatury niemieckiej“. Te trzy momenty, to naturalnie: rozbiory Polski, powstanie polskie i ostatni okres, okres Polski Ludowej, okres jej rozwoju i jej socjalistycznego budownictwa.

Przeszło sto nazwisk, przeszło sto pięćdziesiąt pozycji dokumentacyjnych na przeszło czterystu stronach ukazują nową dla Polaka w ogólnym historycznym ciągu przyjaźni Niemców zainteresowania uczuciowych Niemców skierowanego ku Polsce. Wypowiedzi Marksa, Engelsa, Róży Luksemburg, Liebknechta, Thälmana i Piecka znane są z kart historii. Nazwiska współczesnych pisarzy niemieckich, rozumiejących sens przyjaźni między naszymi narodami, znane są z witryn księgarskich. Byli tu zresztą u nas, byliśmy u nich. Wiemy, że łączą nas granica przyjaźni. Są z nami: A. Seghers, Brecht, Becher, Kuba, Hermlin, Bredel, Kantorowicz, Wolf i inni. O Uhlandzie, Mosene, Platenie, Bettinie von Arnim — nie mówiąc o Goethem, Schillerze, Heinem — pamiętamy jeszcze ze szkolnych czasów czy samodzielnych lektur. Ale obok tych wszystkich znanych — idzie ku nam nowy tłum.

Ku nim przede wszystkim — zgodnie z normalnym prawem twórczej ciekawości — wybiega spojrzenie. Nad ich przede wszystkim wyznaniem pochylamy się, czytając tę piękną księgę przyjaźni.

Trudno mówić tu o wszystkich,

nie sposób powtarzać całego spisu treści. Warto jednak zatrzymać się przy kilku przykładach i przypadkach w wybranych pozycjach. Warto nawet w doraźnym, zrzekającym się wszelkich pretencji artystycznych przekładzie ukazać kilka próbek. Mają one swoją wymowę, jeśli się pamięta, że są tylko nielicznymi fragmentkami grubej księgi, jeśli się pamięta, że księga ta odkłamuje historię o nienawiści między narodami.

Oto Moritz Veit w „Wezwaniu do Polski“ wola przed powstaniem listopadowym:

Śmiało idź, mała Polsko,
W Dawida piękny ślad!
Strzel, by raniony proca
Olbrzymi Goliat padł!

I kończy zapewnieniem:
Wspieramy Ciebie w walce
Świętą wspólnotą serc.
I z Tobą Bóg, co sprawia,
By Dawid wygrał hój.

Nie jest to jego jedyny wiersz. Trzy inne (str. 160, 164, 168) jego pozycje poświęcone Polsce zawiera bogata księga przyjaźni. Odwróćmy kartkę. Oto nieznany nam Karl Heinrich Wilhelm Wackernagel modli się w tym samym czasie zakończeniem wiersza pt. „Czerwień i biel“.

Biel i czerwień, barwy obie,
Wiedz, o Panie, ku zwycięstwu,
Weź, o Panie, w Swoje ręce,
Tych, co w krwawym leżą grobie.

Przerzućmy kartkę, aby zajrzeć do listu Ludwika Börne z 2 lutego 1831 roku: „...Ale czy ten zapal Polaków nie jest czymś najbardziej podniosłym, czymś najgłębiej wzruszającym? Czy istniało kiedyś coś, co — równie wielkie — było jednocześnie równie piękne? Wśród szorstkich kart historii jest to karta za

(Dokończenie na str. 8)

Andrzej PIOTROWSKI

Z TEKI POETYCKIEJ

Szeregowy „Palestine Police“ pisze do matki.

Ziemia Święta spokojna nie jest:
na gałęziach okwiatem krew,
martwe słońce ucieczką nadziei
za skalisty ukryło się brzeg.

W chłodnych parkach Góry Oliwnej
lek uliczek niepewnie uwiąż.
Gorzkie noce — trwożne i zimne
szrapnelami ze sobą mówią.

Granat niebo wybuchem rozciął:
krew i woda płynęły z rany.
Nikt nie przyszedł do nas miłością,
tylko strach cieniem obok stanął.

„Nienawiścią automat nabij
i pogardą — nie trzeba kul!
Bez wystrzału rzuci karabin
i o łaskę poprosi wróg“.

Słowa wodzów o ciszę odległych,
ale nikt nie słucha rozkazów.
Dawny pocisk wyszczerzył cęgly,
w dłoniach stygnie gorące żelazo.

(Napewno w Londynie czy Glasgow
pękał z gniewu przemysłowy kacyk!
Wśród okrzyków i burzy okłasków
poszli nasi tam w delegacji.

Nieprzyjaciół zaprzestał ognia,
dźwięczy pieśnią przeciwny okop.
Żołnierskie zawieszenie broni
odsłoniło drzewa wysokie.

Świtało słonecznym pokojem,
witał niebo zmęczony wzrok.
Nastąpiło — w odstepie dwu wojen
robotnicze przymierze rąk.

Mamo! List ten piszę z więzienia
(są tu wszyscy z naszego plutonu).
Ojcu, siostrom śię pozdrowienia,
Tobie ręce całuję — Johnny.

Szymon DEREŃ

L I G A A R A B S K A

W swych dążeniach do stworzenia wielkiego światowego imperium kolonialnego Wielka Brytania przywiązywała zawsze dużą wagę do Bliskiego Wschodu. Opanowanie go zapewnić miało bezpieczeństwo najkrótszej drogi morskiej, a potem i lotniczej, między Metropolią a najważniejszą i najbogatszą kolonią — Indiami. Lądowe połączenie Egiptu i kolonii angielskich w Afryce z posiadłościami w basenie Oceanu Indyjskiego stwarzałyby zwały kompleks terytorialny, przesadzający o panowaniu w Azji i w Afryce. Z czasem wykrycie na Bliskim Wschodzie bogatych pokładów ropy naftowej zwiększyło jeszcze dążenia brytyjskie do opanowania tego rejonu.

Konkretnym celem dążeń brytyjskich były tzw. kraje arabskie w Przedniej Azji, będące przed I wojną światową bardziej lub mniej ściśle związane z Portą Otomańską. Już w połowie XIX w. kolonialiści angielscy opanowali najważniejsze punkty południowo-zachodnich wybrzeży Półwyspu Arabskiego, stwarzając tam bazy strategiczne (Aden) zabezpieczające komunikację z Indiami i stwarzające przyczółki wypadowe dla nowych zaborów. Były nimi południowo-wschodnie części Półwyspu Arabskiego (Hadramaut, Oman, Koweit), które uzyskały wtedy administracyjną nazwę „Zewnętrzny Protektorat Indii“.

Dla zrealizowania swych dalszych celów podporządkowania sobie całego Bliskiego Wschodu, imperialiści brytyjscy starali się wykorzystać na cjonalistyczny ruch arabski dążący do wyzwolenia się spod panowania tureckiego. Przejawem jego było utworzenie w 1904 r. „Ligi Ojczyzny Arabskiej“. Podczas I wojny światowej głośny agent kolonializmu angielskiego, pułkownik Lawrence, prowadził szeroką działalność montując powstania antytureckie i obiecując pomoc Wielkiej Brytanii w utworzeniu niepodległego państwa arabskiego. Najwierniejszym wykonawcą tej polityki stał się szeryf Mekki Hussein (szef rodu Haszemitów) wraz ze swymi synami, z których najbardziej głośnymi byli Faysal (późniejszy król Iraku) i Abdullah (późniejszy król Transjordanii).

Plany angielskie stworzenia wielkiego, uzależnionego państwa arabskiego spotkały się z przeciwdziałaniem Francji, która zgłaszała również swe pretensje do krajów Bliskiego Wschodu powołując się na tradycje państw francuskich z okresu wojen krzyżowych i na posiadany od XVI w. protektorat nad chrześcijanami-katolikami w państwie tureckim. Pomimo zawarcia w 1915 r. kompromisowej umowy tzw. Sykes-Picot (od nazwisk negocjatorów), stawiającej zasadę podziału sfer wpływów na Bliskim Wschodzie, strona brytyjska nie chciała ustąpić wobec swych konkurentów francuskich i starała się zagarnąć dla siebie wszystkie owoce z rozpadania się Imperium Otomańskiego.

Nie przestając głosić hasła panarabizmu Anglicy starali się tworzyć fakty dokonane, aby nie dopuścić Francuzów na Bliski Wschód. W tym celu reżyserowali organizowanie przez miejscowe feudalne czynniki arabskie nominalnie niezależnych państw, na których czele stawiali nastawieni pro-brytyjsko synowie emira Husseina. Francuzi nie dali tak łatwo za wygraną i zmusili Haszemickiego władcę Syrii do ustąpienia, po czym po licznych przetargach i rozgrywkach stanęła 24.VII.1922 r. umowa w San Remo, która oddawała mandat nad Syrią i Libanem Francji, a Wielkiej Brytanii przekazywała mandat nad Irakiem, Transjordanią i Palestyną.

W międzyczasie Anglicy stracili kontrolę nad Arabią właściwą, gdyż szef sekty muzułmańskiej z pustyni Nedzd, Ibn-Saud, wypędził z Mekki Emira Husseina i kupił sobie pomoc Stanów Zjednoczonych oddając koncesję na eksploatację ropy monopolistom amerykańskim i tą drogą utrwalając swą władzę nad krajem, który otrzymał wówczas nazwę Arabii Saudyjskiej. W sferze wpływów Wielkiej Brytanii pozostał tam wrogi Ibn Saudowi feudalno-teokratyczny rząd Yemenu. Układ w San Remo był polityczną nadbudową nad zawartym poprzednio kompromisowym podziałem ropy nad Bliskim Wschodzie między monopolistami angielskimi i amerykańskimi a częścią wo francuskimi (uzyskali około 30% udziałów w nafcie mossulskiej).

W ciągu całego okresu międzywojennego polityka brytyjska starała się montować ruch solidarności arabskiej dla wykorzystania go przeciw najsłabszemu swemu konkurentowi na Bliskim Wschodzie, a mianowicie Francji. W tym celu popierała i organizowała feudalne ruchy antyfaszystowskie w Syrii i Libanie, z których najgłośniejsze było powstanie Druzów w 1925 r. Musiała jednak działać ostrożnie, gdyż to igranie z ogniem nacjonalizmu arabskiego wymagało żywiołowe ruchy narodowo-wyzwoleńcze mas ludowych, zagrażające ich własnym pozycjom na Bliskim Wschodzie (np. antybrytyjskie powstania w Iraku w latach 1919-1920, 1936 i 1940). Równoległe Londyn przygotowywał na drodze dyplomatycznej podstawy przyszłej unii panarabskiej np. przez pakt Saadybadzki między Irakiem i Transjordanią z 1937 r.

Wypadki II wojny światowej, a w szczególności klęska militarna Francji, umożliwiły Wielkiej Brytanii położenie ręki na jej posiadłościach w Azji Mniejszej, w postaci ogłoszenia nominalnej niepodległości Syrii i Libanu. Był to chwyt już przed wojną zastosowany z powodzeniem w stosunku do Iraku, a po wojnie — do Transjordanii, przy tym oba te państwa musiały podpisać umowy legalizujące istniejące tam angielskie bazy wojskowe. Dla utrwalenia swych wpływów na całym Bliskim Wschodzie rząd londyński powrócił do myśli stworzenia bądź wielkiego państwa arabskiego, bądź unii państw maozajatyckich. Usunięcie konkurencji oraz dywersji niemieckiej i włoskiej w tamtych krajach zdawało się otwierać drogę do zrealizowania tego zadania.

Jeden wariant tych planów nosił nazwę programu „Wielkiej Syrii“. Formalnym inicjatorem jego był król Abdullah, który projektował połączenie Transjordanii z Palestyną, Syrią, Libanem i Irakiem pod swoim berłem. Wariant drugi zgłosił najbardziej probrytyjski polityk Iraku Nuri Said pod typową obrazowo-wschodnią nazwą „Żywnego Połkiszczyca“. Różnica między nimi polegała na tym, że Said chciał oddać władzę w tak samo utworzonym państwie związkowym w ręce króla Iraku, pochodzącego również z dynastii Haszemickiej.

Oba te programy okazały się zupełnie nierelne. Skutki rozniecanego swego czasu świadomie przez Anglików antagonizmu narodowościowego żydowsko-arabskiego w Palestynie zagrały obecnie przeciwko jego inicjatorom. Żydzi palestyńscy nie chcieli w żadnym wypadku wejść w skład związku arabskiego i dążyli do uzyskania samodzielnego państwa na rodzimym. Poza tym oba projekty wywoływały ostre rozgrywki między państwami w tym zainteresowanymi. Egipt zwalczał je, gdyż sam pretendował do objęcia kierownictwa blo-

ku arabskiego. Syria, Liban i Arabia Saudyjska zgłaszały swe zastrzeżenia inspirowane zakulisowo przez Stany Zjednoczone i Francję, które nie chciały dopuścić do umocnienia się pozycji Wielkiej Brytanii w rejonach naftowych.

W tej sytuacji Wielka Brytania postanowiła wykorzystać aspiracje Egiptu i za pośrednictwem oddanego sobie tamtejszego rządu, wysunęła projekt Ligi Państw Arabskich. Pierwsza konferencja Ligi odbyła się w Aleksandrii (Egipt) i była bardzo burzliwa. Poszczególne państwa-uczestnicy nie chciały poddać się pod komendę Egiptu i broniły zakresu swej niezależności w ramach projektowanego Związku.

Ostatecznie pakt państw arabskich podpisany został 22 marca 1925 r. w Kairze z udziałem 7 państw: Egiptu, Iraku, Syrii, Libanu, Transjordanii, Arabii Saudyjskiej i Yemenu. Nominalnie pierwsze miejsce otrzymał Egipt, czego wyrazem było obsadzenie stanowiska sekretarza generalnego Ligi przez Egipcjanina Azzam Paszę, który grał jednak tylko rolę narzędzia w rękach faktycznego reżysera Ligi, gen. Claytona. Pakt przewidywał współpracę polityczną i dążenie do ściślejszego zacieśnienia więzów pomiędzy wchodzącymi do Ligi państwami arabskimi „na zasadzie poszanowania niezależności i suwerenności tych państw, w celu skierowania ich wysiłków dla wspólnego dobra wszystkich krajów arabskich i osiągnięcia poprawy ich losu“.

W rzeczywistości, tarcia i obawy przed nadmiernym wzmocnieniem któregoś z członków Ligi, w szczególności Egiptu, sprawiły, że nie stała się ona, jak to projektowali początkowo Anglicy, nadpaństwem, lecz tylko luźnym związkiem państw, które zachowały prawo uznawania za obowiązujące tylko tych decyzji, za którymi same głośniały. Początkowo Anglicy mogli całkowicie liczyć na Irak, Transjordanie i Egipt, podczas gdy w stosunku do pozostałych członków Ligi byli skazani na stałą konieczność zwalczania wpływów zewnętrznych.

Pomimo więc pozornej sukcesu stworzenia Ligi Arabskiej, mającej być narzędziem polityki imperialistycznej na Bliskim Wschodzie, sytuacja Wielkiej Brytanii nie uległa tam poważniejszemu wzmocnieniu, co wiązało się zresztą z ogólnym położeniem Imperium Brytyjskiego po II wojnie światowej i z jego stosunkiem do Stanów Zjednoczonych. Jak wiadomo, Anglia wyszła z tej wojny bardzo ekonomicznie osłabiona, a zmuszona ustąpić szereg kluczowych pozycji gospodarczych i militarnych swym konkurentom amerykańskim, skazana została na już tylko defenzywne stanowisko wobec wzrastającej ekspansji światowej Stanów Zjednoczonych.

Miało to swoje refleksy również na Bliskim Wschodzie. W swej wielkiej ofenzywie na rynki świata kapitalistycznego i na związane z nim terytoria kolonialne kapitał amerykański nie pominął krajów arabskich. Główną przeszkodą były tam dla niego mocno rozbudowane podczas II wojny światowej pozycje monopolistów brytyjskich, którym odpowiadał celowo skonstruowany system polityczny znajdujący wyraz m. in. w Lidze Arabskiej. W ciągu ostatnich ośmiu lat jesteśmy świadkami zaciętej walki konkurencyjnej kapitalistów brytyjskich i amerykańskich na Bliskim Wschodzie oraz związanych z tym rozgrywek politycznych mających na celu stworzenie dogodnych warunków dla przewagi i utrwalenia wpływów zwalczających się przeciwników.

Punktem wyjścia antybrytyjskiej ofenzywy amerykańskiej na Bliskim Wschodzie było zdobyte już poprzednio gospodarcze panowanie w Arabii Saudyjskiej i Palestynie, co dawało dyplomacji waszyngtońskiej możliwość aktywnego ingerowania w wypadki rozgrywane się w Azji Przedniej i do oddziaływania od wewnątrz na Ligę Arabską. Potem środkiem dalszej ekspansji stał się głośny IV punkt „doktryny Trumana“, czyli tzw. „pomoc krajom zacofanym“. Na tej podstawie Stany Zjednoczone inwestowały w krajach arabskich do 1952 r. z górą 2 miliardy dolarów, a od tego czasu suma ta wzrosła znacznie. Dochodzą do tego wkłady amerykańskie w Izraelu, które w 1952 r. oceniane były na 150 milionów dolarów ze stałą tendencją do dalszego wzrostu.

Związane z pożyczkami, kredytami i inwestycjami warunki gospodarcze i polityczne stawały korzystające z nich kraje w daleko idącej zależności od wierzyciela, co zagrażało poważnie dotychczasowemu gospodarczym pozycjom Wielkiej Brytanii na Bliskim Wschodzie. Znalazło to polityczny wyraz w słabej skuteczności Ligi Arabskiej jako narzędzia kolonialistów angielskich. Charakterystycznym przykładem tego była tzw. wojna palestyńska, w której akcja zbrojna Ligi Arabskiej okazała się nieskuteczna w stosunku do popieranego zupełnie wyraźnie przez Amerykanów Państwa Izrael.

Niepowodzenie w wojnie z państwem żydowskim nie było tylko skutkiem słabości militarnej krajów arabskich, ale w większej jeszcze mierze spowodowane było dywersją wewnętrzną w ich łonie dokonaną przez dyplomację amerykańską, która wygrywała sprzeczność interesów między zainteresowanymi w podziale Palestyny Syrią, Libanem, Egiptem i Transjordanią. Akcja ta przekreśliła definitywnie plany brytyjskie stworzenia wielkiego państwa panarabskiego, zmuszając Anglików do zadowolenia się przyłączeniem części Palestyny do Transjordanii, w wyniku czego powstało nowe państwo Jordania.

Nieudana wojna palestyńska osłabiła znacznie pod względem gospodarczym i finansowym kraje arabskie, którym Wielka Brytania nie jest w stanie zapłacić 700 milionów funt. szt., należnych im z tytułu świadczeń wojennych z czasów II wojny światowej. Komplikuje to i zaostrza stosunki między państwami arabskimi a Wielką Brytanią, przyczyniając się do energiczniejszego wysuwania przez burżuazyjne rządy tamtejszych krajów rewindykacji politycznych. W pełnym zacięciu z tarciami między państwami arabskimi spowodowanymi sprawą palestyńską sparaliżowało to prawie całkowicie Ligę Arabską, tak że od 1950 r. przewidywano powszechne jej likwidacje.

Jednakże zużyty w rękach brytyjskich oręż starała się od tego czasu podjąć dyplomacja amerykańska. W ostatnich paru latach udało się jej podkopać na swoją korzyść wpływy brytyjskie w Egipcie (dyktatura Nubary) i w Syrii (przewrót gen. Szizaki) oraz częściowo w Libanie i w Yemenie, chociaż tam raz po raz Anglicy urządzają przewroty wewnętrzne przez swą agencję feudalną. W ten sposób Stany Zjednoczone mają już dziś przeważającą większość w Lidze Arabskiej, która staje się wykonawcą polityki amerykańskiej. Wielka Brytania może w niej liczyć tylko na Irak i na Jordanię, gdzie po krótkotrwałym powodzeniu intrygi amerykańskiej (przejściowe rządy króla Thalala po zabójstwie Amanullaha) Anglicy znów wzięli górę.

Znamiennym przejawem dokonanej już zmiany charakteru Ligi Arabskiej jest niedawna uchwała minis-

trów spraw zagranicznych tych państw, wyrażająca solidarność Ligi z walką narodu egipskiego o pełną ewakuację wojsk brytyjskich z Suez i Sudanu. Uchwała ta, wyraźnie antyangielska, nie jest sprzeczna z interesami Amerykanów, którzy starają się nie dopuścić do ponownego wzmocnienia się pozycji Wielkiej Brytanii na Bliskim Wschodzie.

Odbyta przed paru miesiącami podróż sekretarza Stanu Dullesa do krajów arabskich miała na celu przypiecztowanie supremacji amerykańskiej na Bliskim Wschodzie przez skłonienie tamtejszych państw do przyjęcia projektu tzw. „wspólnego dowództwa Bliskiego i Środkowego Wschodu“. Waszyngton chce w ten sposób powiązać państwa Bliskiego Wschodu z blokiem atlantyckim i przygotować powstanie nowego ugrupowania „afrykańskiego“ z udziałem Ligi Arabskiej, Izraela, Turcji, Libii, francuskiej Afryki Północnej i Hiszpanii. Blok ten oddałby całkowicie rejon Morza Śródziemnego pod panowanie Stanów Zjednoczonych. Przy realizacji tego celu dyplomacja amerykańska nie ogląda się na interesy swego sojusznika francuskiego, popierając zakulisowo pomoc udzielaną przez Ligę Arabską ruchom burżuazyjno-nacjonalistycznym w Tunisie, Maroku i Algierze.

Te plany wywołują poważne zaniepokojenie nie tylko Francji, ale i Wielkiej Brytanii, która dokłada wszelkich sił, aby ratować resztki swych pozycji na Bliskim Wschodzie. Popierając całkowicie amerykańskie projekty „wspólnego dowództwa Bliskiego i Środkowego Wschodu“ stara się je wykorzystać dla zachowania swej okupacji w strefie Kanału Sueskiego. W tym celu rząd londyński wysuwa wariant przekazania obrony Suezu jedynie państwu arabskiemu (pod dowództwem brytyjskim), odgrzewając ich stare antagonizmy w stosunku do Turcji i żydowskiego państwa palestyńskiego.

Te zaciekle rozgrywki angielsko-amerykańskie o kierownictwo Ligi Arabskiej i o panowanie na Bliskim Wschodzie hamowane są przez potężną falę ruchów narodowo-wyzwoleńczych w tych krajach, które skierowane są zarówno przeciwko kolonialistom brytyjskim, jak i amerykańskim. Podczas swej podróży po krajach arabskich Dulles spotkał się wszędzie z wrogimi manifestacjami ludności, a pod naciskiem opinii publicznej rządu państw Ligi Arabskiej musiały zająć w stosunku do projektów Dullesa dość oporne stanowisko.

Całe skomplikowanie sytuacji w krajach Ligi Arabskiej polega na tym, że z jednej strony imperialiści amerykańscy i angielscy prowadzą między sobą ostrą walkę konkurencyjną, ale jednocześnie swe działania, gdy chodzi o ratowanie podstaw ich wspólnej eksploatacji kolonialnej, podczas gdy z drugiej strony miejscowa burżuazja i nacjonalista arabski starają się wykorzystać te rozgrywki angielsko-amerykańskie dla wyzwolenia się od panowania obcego, paktując jednocześnie z nimi zakulisowo, gdyż wiedzą, że ich własne rządy w swych krajach znaleźć mogą oparcie przeciwko ruchom społecznym i rewolucyjnym tylko w silach zbrojnych mocarstw kolonialnych.

Dlatego też prawdziwy masowy ruch narodowo-wyzwoleńczy na Bliskim Wschodzie nie pokrywa się z działalnością Ligi Arabskiej, która jest wyrazicielem elementów feudalno-kapitalistycznych i nacjonalistycznych. Walka najszerzych mas ludowych krajów arabskich, walka o pełną wolność i niepodległość, skierowana jest w różnej mierze przeciwko uciskowi zewnętrznemu, jak i wewnętrznemu.

Szymon Dereń

Karol KOZMIŃSKI

Wolborz — miasto Andrzeja Frycza z Modrzewia

STARZY ludzie w Wolborzu nie bardzo wiedzą, kim był swego czasu obywatel i wójt ich miasta, sekretarz królewski, znakomity pisarz wieku Odrodzenia, Andrzej Frycz Modrzewski. Nie wiedzą, że na przedmieściu wolborskim, do dziś wójtostwem zwanym, urodził się w domu ojca, dziedzicznego wójta miasta — Jakóba Frycza — mały Andrzej, tu do szkół chodził nim do Krakowa wyjechał; że tu, po latach, w wieku dojrzałym powrócił i jako wójt osiadł. Stąd przed prześladowaniem uchodził i tu zmarł. Tego sta-

szczyt i Wolborki, u odwiecznej przeprawy starych dróg z Mazowsza i Litwy do Wielkopolski i Małopolski. Długość ostrowia nie przenosiła 300 metrów, ciasnota więc miejsca spowodowała, iż dość wcześnie (od r. 1360) powstały przedmieścia Kulzów, Wójtostwo i Zwierzyniec. Na Wójtostwie owym stał ongi dom Fryczów. Dziś miejsce to — wzgórek piaszczysty, poletko żyta widnieje tu w otoczeniu starych drzew, obok — łąki podmokłe. Ziemia nie świetna, niebogate musiało być wójtostwo Fryczowe...

kucji praw", której domagał się Frycz. Diariusz kardynała Henryka Gaetano z lat 1595 — 1596 mówi, iż „zamek obronny otoczony był basztami i murem ze zwodzonymi mostami, wewnątrz w guście włoskim".

Ale z zamku tego nie pozostało dziś nic. Podobnie — śladu nie ma z rozebranego w r. 1832 ratusza mlej-skiego, a z kilku kościołów Wolborza pozostały dziś tylko dwa, parafialny i kościół św. Anny na cmentarzu. Gdzież kościół św. Krzyża i szpitalny kościół św. Leonarda i kościół św. Ducha i św. Trójcy? Zaledwie miejsce, gdzie stały, są znane.

W którym z kościołów tych w r. 1503 ochrzczony został mały Andrzej, syn Jakóba wójta wolborskiego? Zapewne w kościele dziś parafialnym, przy którym też swego czasu była szkoła, gdzie Andrzej Frycz pobierał przez lat kilka pierwsze nauki, nim w roku 1514 ujrzymy go wśród zaków bursy szkolnej przy parafii Bożego Ciała na Kazimierzu Krakowskim. Ukończy tę szkołę w r. 1517, po czym zasiadł na ławie wydziału filozoficznego przesławnej Akademii Jagiellońskiej, który w dwa lata potem ze stopniem baka-larza opuścił.

Kościół parafialny pod wezwaniem św. Mikołaja w Wolborzu, bielejący swą przysadziłą wieżą spośród gęstwin zielonych drzew, między placem Jagiellów i rynkiem, gdzie dziś przystaje autobus P.K.S., to bardzo stara świątynia. Jako kościół drewniany istniał już przed r. 1148. Pierwsze mury powstały zapewne w czasie, gdy Wolborz uzyskał prawo miejskie, w każdym bądź razie pozostałości tych murów wewnątrz dzisiejszego kościoła datują się co najmniej z XV. W r. 1544 arcybiskup Piotr Gamrat wynosi kościół do godności kolegiaty. W latach 1550 — 1580 dobudowano wieżę, w r. 1580 — kaplicę św. Anny. Przebudowano znacznie gmach w w. XVIII i XIX i dziś kościół ten zachował z zewnątrz swój charakter stylowy.

Ale gdy znajdziemy się wewnątrz wieży na wysokości II piętra, ujrzymy zachowaną dobrze część środkową dawnego szczytu fasady w niepokrytej tynkiem cegle gotyckiej z w. XV, zwieńczonej uskokowo, ożywionej ślepymi rozetami i arkadka-

mi bliźnich podwójnych okien, na strychu zaś widne pozostałości skarpy gotyckiej, zarysy ostrołukowych okien i ślady starej polichromii z w. XV z napisem: „Non nobis Domini, non nobis, sed nomini Tuo". Ale nie to dla nas, gdy myślimy o Fryczu, jest ważne i nie to np., że kanonikiem kolegiaty zwiniętej w r. 1818 był inny pisarz, proboszcz Rzeczy-cy ks. Jędrzej Kitowicz. Ważnym jest fakt, że kościół ten w życiu Andrze-ja Frycza odegrał pewną rolę.

Oto w r. 1559 biskup kujawski, późniejszy prymas Uchański, zaprosił do swego zamku na dysputę teologiczną Frycza i innego sławnego pisarza owej doby, Stanisława Orzechowskiego. Było to już w czasach, gdy Frycz jako (od r. 1554) wójt wolborski, przestał sekretarzo-wać Zygmuntowi Augustowi, naraził się biskupowi Hozjuszowi swym pierwszym wydaniem „Naprawy Rzeczypospolitej" i w r. 1558 uchodzić musiał z Wolborza, kryjąc się na dworze hetmana Tarnowskiego przed gniewem papieża, domagają-cego się usunięcia Frycza z wójtostwa. Andrzeja Frycza ze Stanisławem Orzechowskim z lat młodych łączyła przyjaźń. Wiemy, kim był Stanisław Orzechowski. Tym razem w pięciodniowej dysputie na zamku wolborskim bronił papieża i hierar-chii wobec Frycza, który domagał się naprawy kościoła i własnie tylko co napisał był swój traktat „O prymacie papieża", atakujący pa-pieżstwo. Przy zamknięciu dyskusji Orzechowski zredagował swoich pięć tez broniących Kościoła; tezy te przybił na drzwiach kolegiaty i oświadczył, iż jeśli Frycz „do zachodu słońca dnia tego tez owych nie podpisze" tym samym nie uznaje ich, jest „odszczepieńcem", heretykiem.

Frycz też Orzechowskiego nie podpisał, Orzechowski rzecz całą zaciągnął do akt kurii i gdy w r. 1567 biskup Karnkowski w wykonaniu rozkazu papieża Frycza z wójtostwa usunął, potrzebował tylko do owych akt sięgnąć...

W tymże roku Frycz, udając się na tułaczkę, opuścił swój dom i Wolborz. Powrócił tu raz jeszcze: chroniąc się przed szalejącą w r. 1572 w Wielkopolsce zarazą morową, przybył do Wolborza z Trzpińcy,

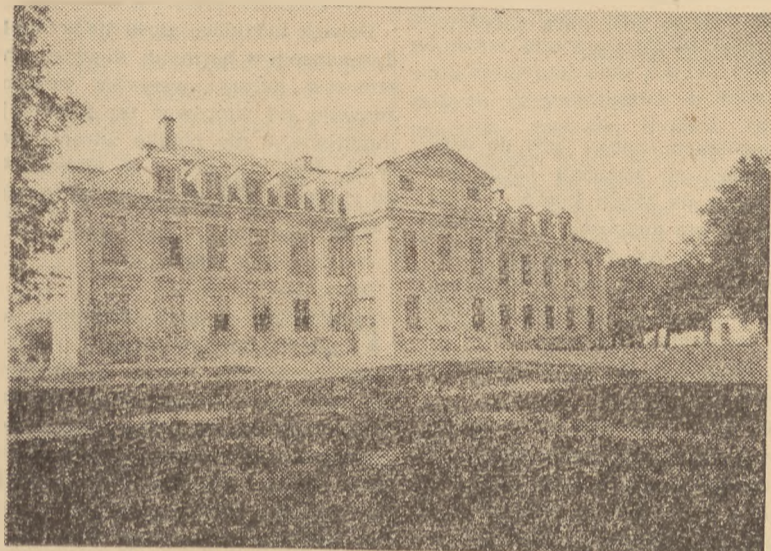


Wolborz — kolegiata

gdzie mieszkał, i w domu ojców zmarł samotny, opuszczony przez wszystkich. Pochowany został w Malcu, wsi pobliskiej.

Ale ze wzgórką, gdzie stał ongiś dom Fryczów, widać dziś jedno jeszcze miejsce. To pobudowany na zrębach dawnej podmiejskiej rezydencji myśliwskiej biskupów kujawskich, panów na Wolborzu, piękną pałac późnobarokowy z oficynami w podkowie niby Wersal królów francuskich. W tympanonie na kartuszu nad wejściem głównym napis: „Amicis et Genio". Z drugiej strony pa-lacu spada tarasami ogród. Podwójne szpalery lip obejmują srebrzystą taflę kanału i stawów. Tą pańską rezydencją władali biskupi do r. 1818, kiedy to w Królestwie Kon-gresowym papież Pius VI ustanowił nową diecezję Kujawsko-Kaliszką z rezydencją biskupią w Kaliszu, a sułtania w Włocławku. Wówczas rezydencję wolborską objął rząd Królestwa Kongresowego. Całe urządzenie pałacu, piękne obrazy, cenne makaty na ścianach i sprzęty o wielkiej wartości „rozebrano nie wiadomo przez kogo". W pałacu — koszarach stanął pierwszy szwadron nowokreowanego 1 pułku strzelców konnych Wojsk Polskich pod wodzą cesarzewicza Konstantego. Potem, po r. 1831, w pałacu — koszarach stały wojska zaboreze.

Ale dziś znów nie to jest ważne. Piękny pałac odbudowany został z całym pietysmem pod czujnym okiem konserwatorów Polski Ludowej. I w pałacu, w ogrodzie i nad wodą kanału słychać gwar i wesoly śmiech dzieci. Tak, bo dawna rezydencja biskupia jest dziś Domem Dziecka.



Wolborz — pałac od strony ogrodu

zdjęcia: Kozłowska

rzy ludzie w Wolborzu nie wiedzą. Wiedzą o tym natomiast dobrze młodzi. Dzieci Polski Ludowej, które o Fryczu uczą się w szkołach Wolborza. Ta młodzież pokazuje przyjezd-nym, gdzie na wójtostwie „stał dom Frycza Modrzewskiego", gdzie ongi był ratusz miejski i zamek, choć z domu tego, ratusza i zamku ślad nawet nie pozostał...

Wolborz jest bardzo starą siedzibą ludzką. Był to początkowo gród Sieradzian, strzegący od północy ich ziem i przepraw przez Pilicę ku Mazowszu i Małopolsce. Bolesław Śmiały nadaje część dochodów z Wolborza (gród jest już wówczas kasztelan-nią) klasztorowi w Mogilnie, a w r. 1148 Krzywousty wyposaża w kasztelan-nię wolborską biskupów kujawskich. Książęta późniejsi potwierdzają nadania, dodając nowe. Tak np. księżna Grzymisława zezwała bisku-pom, panom na Wolborzu, połować na bobry nie tylko na terenie kasztelan-ii, ale i „w całej okolicy". Osa-da targowa przy grodzie otrzymuje w latach 1273 i 1357 prawo miejskie, znaczenie Wolborza rośnie. Leży on na węzle ważnych dróg z zachodu od Poznania na Lublin i z południa od Krakowa ku Mazowszu i Litwie. Do pobliskiego Piotrkowa zjeżdżają często monarchowie, obradują sejmy, nim obradować zaczną w War-szawie. Wolborz jest też często punktem koncentracji sił zbrojnych. Tu w r. 1409 ściągają Małopolanie i Litwini, a dnia 24 czerwca 1410 r. zjeżdża Władysław Jagiełło i w kilka dni potem dokonuje przeglądu po-łączonych sił zbrojnych polskich, litewskich i ruskich na polach pobliskiej wsi Lubochnia. Stąd wojska wyruszają spiesznymi pochodami ku północy pod Grunwald. Podobną koncentracja następuje w r. 1414 i w r. 1422 przed wyprawą Gołubską. W r. 1420 na zamku wolborskim po-słowie czescy ofiarowują Władysławowi Jagielle koronę Czech i tu w czasie Potopu szuka czasowego schronienia Jan Kazimierz, uchodząc z kraju.

Jakże wygląda Wolborz dziś, kiedy szukamy w nim śladów Andrze-ja Frycza z Modrzewia? Miasto zachowało swój pierwotny kształt o-walny, podkątowany przez warunki miejscowe. Zbudowane zostało przede swego czasu na dawnym ostrowie wśród błot, w widłach rzek Mo-

Zamek biskupi, dokąd Frycz czę-sto zapewne chadzał, zbudowany zo-stał na miejscu dawnego grodu obok rynku przy drodze wiodącej do Piotrkowa. To dziś ulica Zamkowa. Miejsce z natury było obronne. Dwa ramiona stanowiły Wolborka i Mo-szczenica. Wystarczyło przekopać niewielką fosę, by zamek wzeszadł otoczony był wodą. Ślady tej fosy zachowały się do dziś, choć z zamku kamień nawet na kamieniu nie pozostał. Odbudowywany kilkakrot-nie z pożarów, spłonął do szczętu w XVIII w. A przecież swego czasu była to siedziba okazata. Gościł tu, odwiedzając biskupa, Andrzeja Ze-brzydowskiego, król Zygmunt Au-gust, „przybывая konno z Piotrkowa" w r. 1550, roku koronacji Barbary i sejmu pod hasłem „egze-

Powstały zaraz po wojnie Instytut Zachodni w Poznaniu rozwijał od szeregu lat ożywioną i pożyteczną działalność. Ponowne zjednoczenie z macierzą Ziemi Odzyskanych było naprawieniem wielowiekowych błędów Rzeczypospolitej szlacheckiej, tendencyjnie przemierzająca, a nawet pośrednio gloryfikowana przez tzw. tradycyjną historiografię za pomocą apologetyzowania „ekspansji wschodniej". Potrzebny był radykalny przełom w ujmowaniu całokształtu historii Polski, w szczególności na plan pierwszy wysuwać się zadanie gruntownego zaznajomienia społeczeństwa z problematyką naszych granic zachodnich. Podbudowa naukowa tego przełomu była właśnie zadaniem, które sobie postawił Instytut Zachodni.

Pod wytrawnym kierownictwem prezesa Kuratorium prof. Tadeusza Lehr-Splawńskiego i dyrektora prof. Zygmunta Wojciechowskiego Instytut Zachodni rozwiniął wszechstronną działalność, na którą składają się takie działy, jak sekcja historii Pomorza i Słowiańszczyzny zachodniej, sekcja Śląska, sekcja badań nad genezą miast Polski zachodniej i Słowiańszczyzny zachodniej, sekcja dziejów okupacji hitlerowskiej w Polsce, sekcja historii Niemiec i zagad-nien Niemiec współczesnych, sekcja czeskosłowacka i inne. Rezultatem tej działalności są liczne wydawnictwa źródłowe i opracowania mono-graficzne. Wśród tych ostatnich fi-gurują tak wartościowe pozycje, jak prof. J. Kostrzewskiego „Kultura prapolska", prof. Lehr-Splawńskie-go „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian" oraz pięknie wydana seria „Ziemie staropolskie", obejmująca

monografie Dolnego Śląska, Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej oraz Odry. Świadczy o tym także na przykładach księgarskich dwutomowa monografia Warmii, będąca kontynuacją tej serii, oraz rozprawa Marzeja Pollakówny „Osadnictwo w Warmii w okresie krzyżackim".

Liczne reprezentowane są opraco-wania i dokumenty dotyczące okupa-cji hitlerowskiej w Polsce. Ostatnią pozycją w tej dziedzinie jest praca Zbigniewa Janowicza „Ustrój admi-nistracyjny Ziemi polskich wcielonych do Rzeszy Niemieckiej". Na specjalne wyróżnienie zasługuje jednak wydawana przez Instytut Zachodni „Biblioteka Tekstów historycznych", nawiązująca do prowadzonych w skali ogólnokrajowej prac nad pu-czętkami państwa polskiego. Wzato-we wydanie i omówienie „Księgi Henrykówskiej", tego nieocenionego źródła dla poznania sytuacji gospo-darczo-społecznej Śląska w okresie wczesno-piastowskim, przyniosło za-służenie prof. Romanowi Grodeckiemu towarzyszącą Nagrodę Państwową I stopnia. Niemniej cenny jest wy-dany w ostatnich miesiącach pełny tekst łaciński z tłumaczeniem pol-skim (po raz pierwszy u nas w kra-ju) słynnej „Kroniki Thietmara", bez której nie może się obejść żaden hi-storyk pracujący nad dziełami cza-sów Mieszka I i Bolesława Chrobrego. To monumentalne wydawnictwo redagujemy prof. Marianowi Je-lickiemu, który zapatrzył je w słowo wstępne i komentarz świadcząca zarówno o wnikliwej analizie tek-stów, jak i ogromnej erudycji redak-tora. W przygotowaniu są dalsze to-my tej serii, które obejmą tak pierw-sorzędne źródła dla historii Słowiań-

szczyzny Zachodniej, jak „Dzieje sa-skie" Widukinda, „Kronikę Słowian" Helmolda oraz „Żywoty Konstante-go i Metodogo".

Specjalną pozycję wśród wydaw-nicw Instytutu Zachodniego stano-wi czasopismo „Przegląd Zachodni". Będąc niejako oficjalnym organem Instytutu daje ono na łamach swych dziesięciu rozdziałów przegląd różno-rodnych prac badawczych nad pro-blemami polskich ziem zachodnich i ich bezpośrednich sąsiadów. Po przejściu przez pewną ewolucję „Przegląd Zachodni" wykształcił się w ostatnich latach jako czasopi-smo łączące tematykę ściśle histo-ryczną z problematyką aktualną. Po-szczególne numery pisma zamiesz-czają rozprawy i artykuły koncentrujące się wokół określonych te-matów bądź historycznych, bądź wią-żących się z przeżywanymi obecnymi wypadkami. Tak np. ostatni numer „Przeglądu" z maja — czerwca poświęcony jest zagadnieniom Niemieckiej Republiki Demokratycznej i zawiera takie artykuły, jak A. Klaw-kowskiego „Podstawowe elementy międzynarodowo-prawne pozycji Nie-miec po 8.V.1945", K. Skubiszewskie-go „Uwagi o zagadnieniach prawa międzynarodowego w konstytucji NRD", B. Wiewióry „Umowy graniczne między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną", E. Sei-wańskiego „Drogi rozwoju gospodar-zego Niemieckiej Republiki Demo-kratycznej" itd. Poprzednio mieliśmy w nim numer „Śląskich" wśród któ-rych wyróżniał się tom pt. „Studi-śląskie", omawiający specjalnie pro-blematykę powstawania kapitalizmu na Górnym Śląsku, oraz numery po-

święcone Pomorzu Zachodniemu, Gdanskowi, Czecchosłowacji itd.

Każdy numer „Przeglądu" zawiera ponadto doskonałe prowadzony dział „Kronika Niemiec współczesnych", omawiający w sposób ciekawy za-gadnienia polityczne, gospodarcze i kulturalne, zwłaszcza Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Rubryka „Współczesna Czecchosłowacja" zawiera przeglądy poruszające zagad-nienia budujące podstawy socjalizmu Czecchosłowacji. Wreszcie dział „Oceny i omówienia" poświęcony jest recenzjom książek polskich i zagranicznych, poruszających zagad-nienia polityczne, historyczne, ustro-jowe i gospodarczo-społeczne nasz-ych ziem zachodnich, jak też w ogóle problematykę niemiecką.

Podkreślić należy dobre i staran-ne redagowanie czasopisma, wysoki poziom artykułów historycznych o-rac żywą aktualność informacji o ży-ciu społecznym i kulturalnym nasz-ych sąsiadów niemieckich i czeccho-słowackich. Można mieć jednak pe-wne zastrzeżenia co do doboru nie-kórych artykułów historycznych, zwłaszcza poświęconych archeologii i dawnym dziejom ziem zachodnich. Jak na pismo przeznaczone dla szer-okich kół inteligencji są one nieraz za wąsko-specjalne, nadające się ra-czej do pism fachowych, przeznacz-onych dla specjalistów. Charakter pu-blicystyczno-historyczny „Przeglądu Zachodniego" wymagałby bądź wy-diminowania rozpraw „erudycyj-nych", bądź traktowania ich w spo-sób bardziej popularny. Inteligencja nasza interesuje się żywo przeszło-ścią ziem zachodnich, ale nie trze-ba jej zrażać podawaniem artykułów zbyt trudnych.

Katarzyna WITWICKA

Czy egoista świeci po śmierci?

Z DARZAJĄ się dni, które, nie będąc żadną specjalną rocznicą, są natładowane artykułami najbardziej emocjonalnymi: wspomnieniami.

— Dzisiaj — nie pamiętam już na skutek jakich skojarzeń myślowych — parsknęłam głośnym śmiechem.

— Ach, coś mi się przypomniało — wytłumaczyłam się.

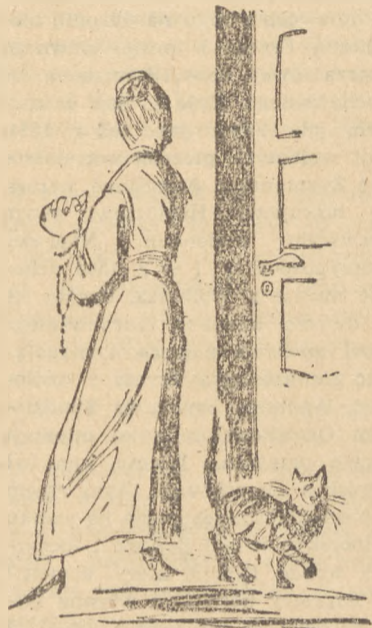
Wspomnienie — dla wspominającego — jest niby dojrzały owoc, który do ugrzyzenia. Jeśli jednak chce się wspomnieniem podzielić — wymaga to komentarzy, nieraz pozornie daleko odbiegających od tematu, by słuchającego wprowadzić w prawdziwą atmosferę danego wydarzenia. Ja sama komizm tamtej sytuacji dojrzałam dopiero teraz, z dalekiej perspektywy czasu.

MOJE wychowanie religijne powierzono Cioci (piszę to słowo przez duże „C” dlatego, że stanowiło ono jakby imię własne. Bo gdy mówiło się „ciocia”, bez żadnego dalszego ciągu, było wiadome, że mowa właśnie o tej cioci. Inne ciotki były w rodzinie niby miasta powiatowe, wymagające bliższego określenia. Ona natomiast była niby stolica: wszystkim wiadoma, ponieważ była jedyną przedstawicielką swego pokolenia), bowiem jej własny stosunek do spraw wiary wzbudzał zaufanie i chęć naśladowania.

Mimo że była, według jej określenia, kobietą niezamężną — nigdy nie mówiła „stara panna” ani o sobie, ani o innych — miała zadziwiająco mało, zwłaszcza jak na owe czasy, cech, stwarzających zwykle ośmieszoną typowość starych pań. Jej głęboka religijność miała w sobie coś, co przyciągało i przekonywało. Było tam znacznie więcej wyrozumiałości i łagodności — niż surowości. Ciocia uczyła, że postępowanie dobrze należy dlatego, by sprawić Bogu radość, nie zaś ze strachu przed Jego kurami. Zwłaszcza że, jak twierdziła, Pan Bóg dzieci nie karze, a tylko bardzo się martwi, gdy są one niegrzeczne. To zobowiązywało..

Tak więc Ciocia — która wypadła mi ciotecznią babką, ale którą wszyscy domownicy i najbliższe otoczenie, bez względu na stopień pokrewieństwa czy znajomości towarzyskiej, nazywali ciocią (włącznie do listonosza Jakubowskiego i, handlującej materiałami bławatnymi, pani Dobowej) — uczyła mnie pacierza.

Przy pacierzu trzeba było zachowywać się z powagą; nie wolno było poziewać ani rozglądać się na bo-



ki, gdyż oznaczało to brak należytego skupienia, co miało być wyukiem kuszenia diabła. Wtedy diabeł aż uśmiechał się z radości, a anioł ze smutku i wstydu zakrywał twarz skrzydłem. Bardzo pragnęłam doprowadzić diabła do zgrzytania zębami ze złości, że mu się nie udaje skusić mnie do ziewnięcia, na przykład, ale jemu się więcej razy udawało. Naprawdę rechotał z zadowolenia. Anioł zaś „nie przemęczał się”, jak zapewniała Ciocia, dźwiganiem worka z mymi cnotami, ponieważ znajdowały się w nim jedynie moje dobre chęci, których wagę porównywała Ciocia do pustych strączków..

Poza tym przy pacierzu trzeba było koniecznie klęczeć, aczkolwiek Ciocia sama nigdy nie klęczała ze względu na jakieś schorzenia, które wyłoniła jej starość. Modląc się — zazwyczaj przechadzała się iniarowo.

Pacierze Cioci były długie, co bardzo mi imponowało i napraszałam się, by i mnie wolno było mówić taki sam. Zaczęło się w październiku — od koronki, bowiem modlitwę do Matki Boskiej różańcowej Ciocia odmawiała na koronce.

Na środkowym gwoździu, który przytwierdzał do ściany makatę nad łóżkiem Cioci, wisiał święty obrazek, a na nim koronka. Makata — był to duży kawał materiału o kolorze zgnilo-zielono-wypłowiałym, przez zbieg okoliczności o identycznym odcieniu, jak ściany pokoju. Obszyta była pusem ciemnozielonego weluru, a górna jej część pokrywały aplikacje — różnokolorowe gwiazdy i krążki, przydziergane do tła laselą o barwie kontrastowej w stosunku do tła, gwiazdy czy krążka.

Koronka była zupełnie nieduża (ledwie mogłam przesunąć przez nią dłoń), składała się z niebieskich i białych koralików, a zakończona była medalikiem z wizerunkiem Matki Boskiej.

Całość sprawiała wrażenie wprawdzie nieco pstre, lecz pogodne.

Bardzo chciałam mieć taką samą koronkę, jak Ciocia. Po jakichś mietęgach odwiekania — kupiono mi..

Ale zupełnie nie to, o czym marzyłam. To, co dostałam, nie było wcale jasną, wesołą koronką, a różańcem. Różańiec był duży i ponury. Gdy założyłam go sobie przez głowę na szyję — zwiślał mi aż na biceps. Paciorki miał drewniane, ciemnobrązowe, podłużne, jak jagody berberysu i splaszczone z czterech stron. Zakończony był blaszanym krzyżykiem z figurą umęczonego Chrystusa. Wszystko razem zrobiło na mnie nieprzyjemne wrażenie. Nie ucieszyłam się z różańca i odeszła mnie ochoła odmawiania go — taki był długi..

Ciocia trochę, raczej w celach pedagogicznych niż z przekonania, burczała na mój „słomiany ogień” zapału do długich modlitw, ale na tym się — na razie — skończyło.

Mijały jesienne i zimowe wieczory, których jednym z ostatnich dźwięków w naszym mieszkaniu był zazwyczaj szepcący pacierz Cioci. Podobny był do kołysanki i, jeśli nie zrobiłam tego wcześniej, z przyjemnością usypiałam pod ten łagodny, monotony szmer.

Przy okazji przypomina mi się, jak komicznym urozmańceniem tych zimowych wieczornych modłów Cioci było zachowanie się naszej kotki Topsis.

Orientowała się ona co do pewnych, nader charakterystycznych, symboli domowego życia. I tak jak wiedziała, że wzięcie przez Zosię do ręki maszynki do mięsa oznacza, że ona, Topsis, otrzyma zaraz smaczne odpadki — tak samo rozumiała, że wieczorne kursowanie Cioci tam i z powrotem, przy jednoczesnym dość głośnym szepcie — wrózy ryche szczelne pozamykanie wszelkich zewnętrznych otworów mieszkania — na całą noc.

Wobec tego — Topsis postanowiła odbyć swój ostatni, danego dnia, spacer do ogrodu, objawiając tę chęć przez miauczenie pod drzwiami i wymowne spoglądanie na kłankę Cioci, nie przerywając pacierza, uchyliła drzwi, by wypuścić kotkę. Tymczasem Topsis wysuwała głowę na zewnątrz i, jakby onieśmielona panującymi tam ciemnościami i zimnem, cofała się z powrotem. Zadzierając głowę i miaucząc, spoglądała na Ciocię wyraźnie pytająco — od-

cień pytania był także w jej głosie — jakby się radząc: isć czy nie isć? Nic ją nie obchodziło, że przez otwarte drzwi niepotrzebnie ucieka skrętnie strzeżone ciepło wnętrza mieszkania i właśnie w samym progu zastanawiała się, czy warto wychodzić na słońce lub mróz.

W takich przypadkach, a powtarzały się one z reguły każdego wieczoru, Ciocia traciła zwykłą cierpliwość dla swej ulubienicy. Robiła extra przerwę w pacierzu i, wypychając końcem pantofla opierającą się kotkę, mówiła:

— No, idź-że, idź, stara wiedźmo. Przecież zaraz wrócisz.

Z nastaniem maja, gdy do wieczornego pacierza Cioci do- szła litania do Matki Boskiej — zaczęłam znowu dokuczać, że i ja chcę ją odmawiać. Ale zamiar ten jedynie częściowo dał się zrealizować, ponieważ w żaden sposób nie mogłam zapamiętać kolejności całej litanii. Skończyło się na powtarzaniu refrenu.

Jeśli tylko była pogoda — chodziłyśmy z Ciocią odmawiać litanię do zakątka ogrodu w którym królowała figura Matki Boskiej. Choć nie była duża — przez nastroj, jaki wytwarzała, wyodrębniła spory kawałek ogrodu od pozostałej, zwykłej jego reszty.

Było tam zacisznie i, w pewnym okresie, właśnie w maju, biało. Bowiem w końcu kwietnia, po wymiesieniu figury ze strychu i ustawieniu jej na postumencie — stary stróż Lewanda bieleł wapnem Matkę Boską, postument, cegły, obramiające rabatkę, na której figura była ustawiona, a także pnie okolicznych bżów. Wkrótce bzy zakwitły a wszystkie tu rosnące były białe. Zakwitły też białe jaśminy i akacje.

W fałdach gipsowych szat Matki Boskiej gromadził się kurz i piach, naniesiony przez wiatr. Ziarenka, wyrwane gwałtownie ze swego normalnego bezruchu, odnajdywały tam

rosy; szarości cieni. Brzęczały, tańczące rojem w górze, w ostatnich blaskach dziennego światła, komary i trzepotały się oglupiały, jakby za wcześnie obudzone ćmy.

Im ciemniejszy odcień przybierała pora — tym więcej ożywała biała sylwetka Matki Boskiej. Stawała się zwiewna, a przecież jakby bliższa.

Stałam, oparta plecami o Ciocię, twarzą zwrócona ku figurze, i, trochę przyduszonym przez uroczyście napięciem głosem, powtarzałam w równomiernych odstępach czasu:

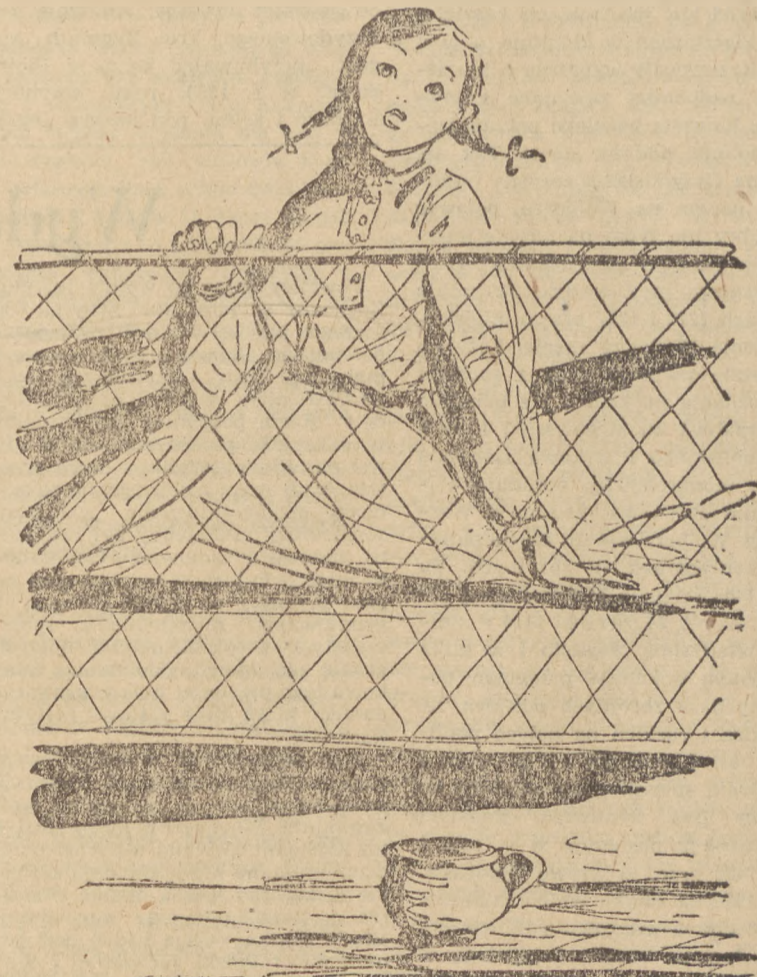
— Módl się za nami.

Dźwięk ludzkiego głosu nie brzmiał dysonansem w harmonii wieczornych szmerów natury: wszystko wokół zdawało się wtórować tej pogodnej modlitwie, a nie rzadko wtórał się w to, niby dyrygent tego nieszanego chóru — głos dzwonów na Anioł Pański.

PRZECIEŻ jednak dopięłam w pewnej mierze swego i, rezygnując z długich litanii, nauczyłam się krótkiej modlitwy za zmarłych. Nauczyłam się jej, przysłuchując się głośnemu i o wyraźnej dykcji szepcowi Cioci. Właśnie wspomnienie krytycznego wieczoru, kiedy to po raz pierwszy dołączyłam tę modlitwę do mego pacierza, tak wyraźnie we mnie ożyło i pobudziło do wesołości.

Z pamięci mej wypłynął, dokładnie szczegółowy, włącznie do olbrzymich, trochę strasznych cieni, falujących po ścianach i suficie w zależności od chwiania się śwlecy — obraz pokoju Cioci.

Ciocia trzyma mię za ramiona, aby dopomóc do utrzymania klęczącej pozycji w dziecinny, osiatkowanym łóżku. Z dłońmi złożonymi przepiętowo w „amen” zwrócona jestem twarzą do ściany, na której — nie nie ma, Ciocia ubolewa nad brakiem świętego obrazka nad moim łóżkiem, ale przybijając go tam nie warto, ponieważ dopiero od niedawna i na krótko sypiam w pokoju Cioci.



Janusz KASPERSKI

W OGRODZIE SASKIM

Bez sztąchet wolna zielen jak gaj z miedziorytów na bruk ulic przelewa, w zgiełk pracy, w gwar miasta, gdzie nowy wiek wykwa wiotkim dłoń żyłasta, tworząc świat doskonały pośród maszyn zgrzytu.

Tutaj dymi fontanna na tafli nefrytu i tańczy Taniec Wiatru od błysków iglasta, tu młode pokolenie drzew w słońcu dorasta, a niebo spokój w wazie podaje z błękitu.

Tu dumam, jakbym dawne oglądał żurnal, że czasem Prus tu przyszedł wytehnąć po upale, choć ślad na piasku ujrzyć bierze mnie pokusa..

Iecz nagle powiew dmuchnie, zmieni piasek płowy, i z liścia motyl sfrunie, kruchy, jednoludniowy, może kuzyn motyli z czasów pana Prusa?

LAD I CHAOS

Jak cicho tutaj — głucho dudni krok wędrowca pośród tej cizy ruin jak staw tajemniczej, i tylko wałki z chwastów pija dziś gorzce gdzie oni umierali... Błądząc po manowcach.

O męczennikach myślę, i nagle z grobowca na budowę wychodzę, gdzie trzaskają biece, i buldożerów tętnią wieże obłężnicze, i z rusztowania słychać okrzyk zetempowca.

Murarz cegły układa, dźwig kraży jak pajak, wra walka, wojowników przyczęść zdobywają; hymnem życia, nie śmierci, jest szczek ich orzęza

Później wrócę do domu, beda bzy w wazonie, po książkę sięgnę z półki, gdy lampa zapłonie, potem usnę spokojny: ład i chaos zwycięży.

— póki nie wypłukał ich deszcz — umiłowany spokój.

Pamięć chwil spędzonych w małowieczory przed figurą uogólniła mi się we wspomnieniu zmierzchniętego nieba pastelowej barwy z drobnyimi, jak główki szpłak, iskierkami gwiazd: cichego, a trochę tajemniczo-strasznego szelestu liści; zapachu kwiatów i wilgoci wieczornej

Jest pełnia lata — maj przeminał — i nie chodzimy już z Ciocią na wieczorny pacierz przed figurą Matki Boskiej. Dlaczego jednak nie modlą się „do” obrazka, wiszącego nad łóżkiem Cioci — tego teraz nie umiem wytłumaczyć.

Modlitwa kierowana w stronę pustej ściany jest nierako symboliką podniesioną do potęgi: moje podzię-

kowanie za miniony dzień i prośbę o opiekę podczas nadchodzącej nocy — składam przed wyobrażeniem obrazu, który, z kolei, jest wyobrażeniem Boga, będącego dopiero właściwym celem modlitwy. Prawdziwy „ogonek” pośrednictwa.

Pacierz mówię bez podpowiadania. Chwilami, wprawdzie, brak mi nagle kolejności dalszego ciągu. Wtedy — mach! mach! — żegnam się błyskawicznie i mówię:

— Ciociu, nie podpowiadaj! Zaraz sobie sama przypomnę.

Gdy dochodzę do nowowprowadzonej w skład pacierza modlitwy za dusze zmarłych — trzępię ją prędko, chcąc się pochwalić, że umiem tak dobrze. Słowa płyną zupełnie gładko, gdy nagle Ciocia potrząsa mną tak, jak się to robi z rondelkiem, by mleko, mające zaraz wykpić, osiadło, i mówi:

— Co ty sobie żarty stroisz z pacierza? Mów porządnie!

Powtarzam więc zwrotkę od początku — tym razem wolno.

Do modlitwy odnosiłam się bardzo poważnie, zwłaszcza że Ciocia pewnych rzeczy przestrzegała rygorystycznie. Po pacierzu wieczornym, na przykład, nie wolno było jeść, śpiewać, a nawet zbyt wiele rozmawiać — chyba o tym, co konieczne.

Jeśli zdarzało się, że chciano mi dać, już po pacierzu, jakiś smakołyk — Ciocia, co prawda, przeważnie pozwalała, tylko potem trzeba było — w zależności od porcji, jaką się zjadło — albo zmówić cały pacierz na nowo, albo tylko jakąś krótką modlitwę pojedynczo. Po cukierku — wystarczyło się tylko przeżegnać.

Wszystkie te „przepisy” znałam dobrze, sprawy religijne traktowałam bardzo serio i mowy nie było o „strojeniu żartów”.

Coś innego było tu nie w porządku.

Jakoż, gdy dochodzę do słów: „a ś w i a t ł o e g o i s t y niechaj im świeci...” Ciocia znów wpada w oburzenie:

— Przeżegnaj się, już dosyć na dziś. Jutro z rana zmówisz to porządnie.

Leżę i, z nerwowym niepokojem, czekam na komara-dreściciela. To balkonowe drzwi, szeroko otwarte w gwiazdną ciemność letniej nocy, dość bezmyślnie wpuszczają całą masę ciem i komarów. Komarowe brzęczenie słychać już w pokoju całkiem wyraźnie. To mnie przygnębia: wiem na pewno, że nie usnę przy tej melodii, zwłaszcza, że (tak się zawsze dzieje), gdy tylko wygodnie ułożę się do snu — jakiś komar, ze złośliwą uprzejmością, natychmiast zaczyna brzęczeć nad samym uchem.

Chcę, żeby sen przyszedł prędko, żeby zdążył przed komarem, ale, na razie, nie ma ani snu, ani komara.

Bukiet czeremchy wydzielił już tyle woni, że w całym, wprawdzie dość niewielkim pokoju nie ma już ani odrobiny świeżego powietrza. Jest odurzający zaduch.

Z ganeczku płynie donośny, wyraźny szepc — to Ciocia odmawia swój pacierz.

Zwykle, po jakiejś dłuższej modlitwie Ciocia się żegnała i wtedy można się było do niej odzywać. Gdy czasem, przez nieuwagę, zaczynałam rozmowę nie w porę — Ciocia machała na mnie ręką.

— Przepraszam — mówiłam wtedy — myślałam, że już masz przerwę.

W pierwszej przerwie, jaka się teraz nadarza, wołam:

— Ciociu!

— Dlaczego nie śpisz?

— Ciociu, czy inny zły człowiek nie świeci się po śmierci, tylko egoista?

— Co ty wygadujesz?

— No, bo...

Sprawa się wyjaśnia: źle dosłyszałam i przekręciłam słowa modlitwy.

A nie było w nich, dla mnie, nic dziwnego. Po prostu ktoś, kto za życia był egoistą, po śmierci, za karę, musi być innym służyć jako latarka.

Tego wieczoru komar się spóźnił.

Leszek KRZYSZKOWSKI

MĄDRY SCHEMATYZM

„...Nie można brać wszystkiego na serio, tak jak by tego chcieli różni sztywniacy i nudziarze. Nareszcie doczekaliśmy się uznania. No i teraz, rzecz jasna, zaczynamy nas naprawdę cenić. Teraz będziemy ważni. Trudno sobie nawet wyobrazić, jak bardzo będziemy ważni. To bardzo przyjemne być ważnym. Tylko jak pisać, żeby się przy ważności utrzymać? Bo jak będę ważny, to będą ode mnie wymagać rzeczy ważnych. Ładna historia, teraz się dopiero zaczyna czeplić...” — mówił, streszczając zabawny monolog wewnętrzny współczesnego polskiego satyryka Jerzy Andrzejewski. „...Zadania, jakie stoją właśnie przed satyrą — kontynuował pisarz — wyjaśniane bywają zazwyczaj przy pomocy ogólnikowych przymiotników w rodzaju: ogromne, doniosłe, bojowe, co — rzecz prosta — nie prowadzi ani do zrozumienia, na czym ta „ogromna” i „bojowa” rzecz polega, ani — jak tę „ogromną” i „bojową” rzecz wtórczo realizować.” Referat, z którego pochodzą powyższe cytaty, nosił skromny tytuł: „Kilka uwag o charakterze i zadaniach satyry” — a wygłoszony został na II Ogólnopolskiej Naradzie Satyryków w Warszawie.

Tego dnia wychodząc z sali, w której toczyły się obrady, zauważyłem wśród rozłożonych na stole w hallu nowości wydawniczych książkę o dziwnym, niecodziennym tytule: „Wojna Skuteczna czyli opis bitew i potyczek z Zadufkami”. Autor: Jerzy Andrzejewski. Czyżby próba praktycznego zrealizowania teoretycznych postulatów referatu? — pomyślałem. I prędko kupiłem tę książkę.

„Wojna skuteczna” jest interesującą próbą stworzenia pierwszego w naszej literaturze powojennej dzieła satyrycznego zakrojonego na wielką skalę. Jest to zamierzenie ambitne, oryginalne i absolutnie na tym terenie nowe. Już samo zestawienie określeń, na jakie zasługuje książka — a zasługuje bezwzględnie, nawet wtedy, kiedy budzi sprzeciw i wątpliwości — skłania do zastanowienia się nad niektórymi jej cechami charakterystycznymi. Na dokładną bowiem analizę „seminaryjną” nie pozwalają ramy niniejszej recenzji.

Zacznijmy od kilku stwierdzeń ogólnych. Książka Andrzejewskiego jest bogata, odmienna i... nietatwa. Może właśnie przez swoje bogactwo zarówno treściowe, jak i formalne, a może przez swoją odmienną. Takie określenia niewiele jednak wyjaśniają czytelnikowi; zbyt mało znaczą, bo mówią tylko o uczuciach czytającego, a nie o samym dziele. Ale nie mogłem się oprzeć przed ich zacytowaniem. Czytałem bowiem „Wojnę Skuteczną” kilka razy. Książka długo się opierała, wrażenia z lektury nie chciały ułożyć się w składną konkluzję recenzji.

Andrzejewski pisał swą książkę w latach 1950—51. W dyskusjach literackich owego okresu natrętnie pojawiać się zaczęło słowo „schematyzm”. Była to, jak brzmiało określenie, „pozbawiona wartości namiastka realiów życia” znamionująca bądź ucieczkę od rzeczywistości, bądź kompletne niezrozumienie zarówno jej samej, jak i rządzących nią obiektywnych prawidłowości. Szymonowano nim specjalnie w stosunku do twórczości powieściowej, nie uszło jednak na sucho poezji, a również i satyrze. Powtarzała się do znudzenia tematyka utworów satyrycznych, nieodmiennie pomyślnie zakończenia sły w parze z nadużywaniem znanych na pamięć chwytów humorystycznych. Wtedy właśnie po-

wstawała „Wojna Skuteczna”. Było to frontalne uderzenie w najtypowsze schorzenia i wynaturzenia sił starych, hamujących postęp, była to książka *świadomie upraszczająca, świadomie schematyczna, świadomie, par excellence publicystyczna*. Wła-



Jerzy Andrzejewski

śnie publicystyczna. Na publicystykę zaś świadomą w tzw. wielkich formach literackich — do jakich niewątpliwie aspiruje „Wojna skuteczna” — pozwolić sobie mogą tylko talenty bardzo wysokiej klasy bądź bardzo w tym właśnie rodzaju twórczości wybitne. Cóż więc skłoniło Andrzejewskiego do zastosowania jej w satyrze alegorycznej „Wojny skutecznej” — gatunku tak na pozór odległym i różnym od współcześnie używanych i nadużywanych?

PUBLICYSTYKA jest rodzajem sejsmografu notującego każde rewolucyjne drżenie. Dzisiejsza epoka drży nieustannie. Tempo zmian dokonujących się w naszej nowej rzeczywistości jest czasami wprost oszałamiające. Na najważniejszych odcinkach życia politycznego kraju zszalał się i rozwija żarliwość i czujność ideowa nowego socjalistycznego artysty, hart i polot politycznego agitatora. Zapamiętajmy to słowo. Pomóż nam ono następnie sprzycować postawę pisarską Andrzejewskiego. Przychodzące z zewnątrz bodźce — czy to ideowe, czy czasem po prostu tylko sytuacyjne — są dziś tak silne, że muszą wpłynąć i wpływać na umocnienie i pogłębienie aktywnej postawy artysty-twórcy. Taka właśnie aktywna postawa cechuje całą twórczość Andrzejewskiego. Nie zrezygnował z niej również pisząc „Wojnę skuteczną”. I zdając sobie doskonale sprawę z faktu, że najgłębsze korzenie dzisiejszej twórczości artystycznej tkwią w jej politycznym działaniu, Andrzejewski postanowił pokazać, że i tzw. „duże formy” satyry mogą skutecznie spełniać zadanie doraźnej, szybkiej i ostrej reakcji na dziejącą się rzeczywistość. Pozostawiając twórczości epickiej jej dotychczasowe zadanie kształtowania nowej świadomości czytelnika, a małym formom artystycznym — ich swoiste, równie potrzebne i ważne funkcje, Andrzejewski udowodnił, że duża, „ciężkiego kalibru” satyra może być narzędziem bardzo precyzyjnym i sprawnym w bieglej ręce pisarza-publicyisty i pisarza-agitatora.

Naczelnym obowiązkiem takiego pisarza jest żywa reakcja na aktualność. Prawidłowość tej reakcji bywa zaś wprost proporcjonalna do subiektywnego zaangażowania się twórcy w walkę o pełne zwycięstwo nowych dziejących się spraw. I „Wojna skuteczna” jest najlepszym dowodem, że w stosunku do tych

nowych dziejących się spraw i ich wewnętrznych sprzeczności Andrzejewski zajął postawę czynną, przyczynającą się — w imię otwarcie przyjętego sposobu wartościowania — do stopniowego ich przewyciężenia i usunięcia. Jest to postawa jedyna. Bo satyra chce zmieniać świat. Jest — jak mało który inny gatunek literacki — aktywna wobec zastanej rzeczywistości.

To podstawowe w „Wojnie skutecznej” założenie przekazywania w sposób najbardziej bezpośredni pewnych treści politycznych wpłynęło bez wątpienia na dużą swobodę w doborze form artystycznych utworu. I tu nasuwają się pierwsze wątpliwości. Przyjąwszy bowiem w zasadzie bez zastrzeżeń poetykę powiastki filozoficznej — Andrzejewski nie chce jednocześnie zrezygnować z — całkiem zresztą słusznej i potrzebnej — publicystyki. Może właśnie dlatego, że jest ona tak potrzebna. Ale w nadmiarze — a zdarzają się takie partie „Wojny skutecznej” — nuży ona czytelnika, nie przyczyniając się do ideowego ujednoczenia rozproszonych problemów, co niewątpliwie leżało w „dydaktycznych” intencjach autora, pragnącego w ten sposób przystosować stary, osiemnastowieczny schemat do jego nowych funkcji, zmienionych już nie tylko o sto kilkadziesiąt lat historii, ale i o dziewięć lat nowej polskiej rzeczywistości. Toteż nieodparcie narzuca się tutaj wrażenie, że „formalna” czystość powiastki filozoficznej, jakiej mogliśmy się byli spodziewać — chociażby z wyjątków publikowanych w „Twórczości” i w „Nowej Kulturze” jeszcze w 1951 r. — uległa w zakrojonej na trzy pokaźne tomy konstrukcji książkowej poważnej korekcie. I o ile nie ucierpiała na tym pasja demaskatorska i polemiczna utworu — tej nie brakowało Andrzejewskiemu nigdy — o tyle zachwiała się, zwłaszcza w alegorii o Narcyzie, autonomizacja tekstu przeładowanego teraz społeczno-polityczną publicystyką. Dalej. Swoboda — aż nazbyt swobodna nieraz — narracja „Wojny skutecznej” obfituje w dygresje noszące wyraźne piętno osobistych, lirycznych zwierzeń pisarza. Stwarza to znów, nie zawsze szczęśliwie omińnięte, niebezpieczeństwo „gadulstwa”, które — jak u Rabelais — ma niewątpliwie swój sens, ale które — jak u Rabelais — staje się w końcu męczące. Ponadto na tle świadomie uproszczonego i skonwencjonalizowanego toku opowiadania o Zadufku bezwzględny — te wtręty „osobiste” są niekonsekwencją, z której — wobec ukończenia zaledwie jednej trzeciej dzieła — nie czas może jeszcze wyciągać wnioski ostateczne, ale na którą warto zwrócić autorowi uwagę. I tu — przy okazji „casus Duda” — chciałbym omówić, znów tylko dwa, spośród nasuwających się problemów.

PIERWSZY — to problem owego „mądrego schematyzmu”, z takim powodzeniem zastosowanego w „Opisie bitew i potyczek z Zadufkami”.

Schematyzm jest cechą specyficzną satyry alegorycznej, musi więc być świadomie zamierzony i konsekwentnie stosowany przez autora. I w „Wojnie skutecznej” zamierzony był rzeczywistości. To widać od razu. Andrzejewski tworząc swego Zadufka nie chciał bynajmniej wzmówić nam, że tak właśnie wygląda człowiek naprawdę i że w takim żyje świecie. Nie twierdził, że daje nam oto pełny i wszechstronny obraz rzeczywistości. Bynajmniej. Wyszukiwał w tej rzeczywistości tylko główne tendencje, zasadnicze rysy zjawisk, przejawiał, generalizował i upraszczał. Ale też bez przesady nie ma w ogóle satyry. Przejaskrawianie skaz i wynaturzeń „starego”, posłu-

giwanie się groteską, parodią, karykaturą — przy równoczesnym wyolbrzymianiu wartości „nowego”, często — jak u cytowanego już Rabelais — podniesione do rozmiarów monstrualnych, jest pełnym prawem satyryka. Toteż w wypadku „Wojny skutecznej” tak pojęty schematyzm nie tylko nas nie razi, ale przeciwnie, uczy, jak można się nim mądrze i świadomie posługiwać; więcej: pomaga nawet wciągnąć się w umowny świat książki. Toteż nasuwające się w tym miejscu zastrzeżenia dotyczą nie tyle samego zamierzenia, ile raczej owej konsekwencji w posługiwaniu się uplanowanym z góry schematem. Jest on bowiem dopuszczalny tylko i jedynie pod warunkiem rozciągnięcia konwencji i kukielkowości na całą „rzeczywistość” powieści i wszystkich jej „bohaterów”. Tymczasem w najważniejszym momencie bitwy z Zadufkiem bezwzględny, w opowiadaniu o Tomaszu Dudzie, metoda schematu zawiodła. Pierwotnie miało ono być przecie ściśle realistyczne — i takie też jest faktycznie w pierwszej połowie. Natomiast część druga jest już — podobnie jak reszta „potyczek” — zupełnie kohwencyonalna. I stąd nasza do autora pretensja. Jeżeli bowiem przyjmujemy, że opowiadanie o Dudzie wymaga — i tak też jest w istocie — realistycznego oddania rzeczywistości w całej jej skomplikowanej złożoności, to żadna zasada alegorii nie może usprawiedliwić ani pojawienia się wszystkich występujących w opowiadaniu postaci na jednym miejscu i w tym samym momencie — nabożeństwo w kościele Mariackim w Krakowie; ani głupowatej otwartości, z jaką Duda demaskuje się — w 1951 r. — jako reakcjonista; ani wreszcie — samego zakończenia opowiadania.

Ale znów brak kontekstu całości dzieła ostrzega przez zbyt pochopnym wyciąganiem wniosków z takiego, a nie innego rozwiązania jednego tylko fragmentu.

Notujmy więc dalej spostrzeżenia. I tu problem drugi.

Ilość środków, przy pomocy których autor atakuje sytuacje satyryczne „Wojny skutecznej”, jest — jak już wspominaliśmy — bardzo duża. A to zobowiązuje. Przede wszystkim do tego, aby w doborze owych środków i w ocenie ich prawidłowości, a więc i skuteczności, kierować się dokładną analizą każdej sytuacji satyrycznej, ze szczególnym uwzględnieniem faktu, czy jest ona oparta na sprzeczności lagodnej, nieantagonistycznej, czy też — ostrej, antagonistycznej. W pierwszym wypadku stosowanie „psychologicznej” metody ośmieszenia, perswazji czy wreszcie ulubionego w potyczkach „wytrząsania” będzie całkowicie wystarczające i usprawiedliwione. Natomiast w wypadku sprzeczności antagonistycznej — „casus Duda” — traci ona swój sens: wrogów klasowych nie niszczy się przy pomocy groteski psychologicznej.

HUMANIZM „Wojny skutecznej”... Wzrastająca aktywność satyry nie stawia sobie, oczywiście, zadania miażdżenia i unicestwienia człowieka. To byłoby nie do przyjęcia. Andrzejewski wie o tym dobrze. Strzały, które padają w „potyczkach”, wymierzone są jedynie w to, co w ludzkich myślach i czynach jest stare i na zniszczenie zasługujące: „Nie stracić, towarzysze, nie zgubić o ile to tylko możliwe, ani jednego człowieka, natomiast przeciwnie: odzyskiwać dla nas ludzi, zdobywać dla nas ludzi, pomagać ludziom, żeby do nas trafili i przychodzili — oto cele naszej Wojny. Niszczyć, tępić i rozbi-

(Dokończenie na str. 8)

* Jerzy Andrzejewski: „Wojna skuteczna” czyli opis bitew i potyczek z Zadufkami”. Czytelnik 1953, str. 272 + 2 nb.

Leszek PROROK

KONTUSZ W ROKOKOWYM SALONIKU

RZUT oka do środka programu i wrażenie, że za chwilę zza kurtyny przemówi któryś z dawniejszych komediopisarzy francuskich. Wystąpi przecież galeria figur o cudzoziemskich imionach: Orgon, Dorymena, Filint, Fintak. Natomiast w prologu pióra dyr. Al. Gąssowskiego Imć Wojciech Bogusławski upewnia, iż w „Baliku gospodarskim”

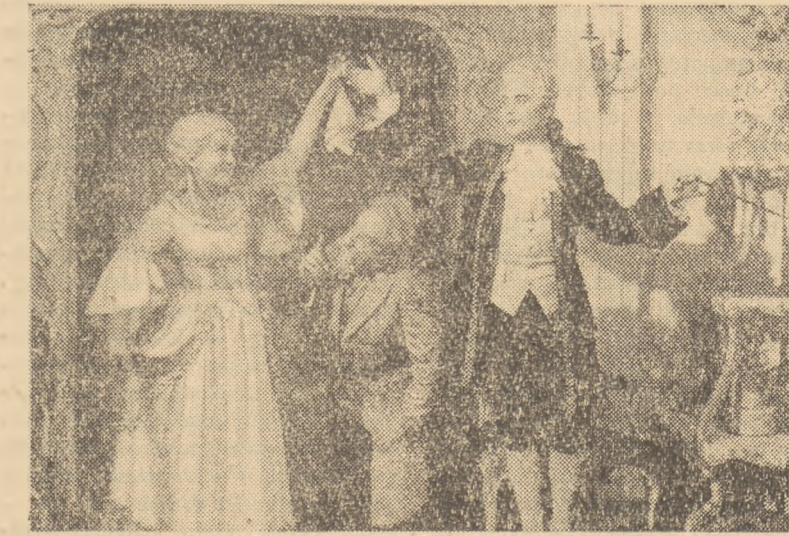
wzbogaciło repertuar o utwór w pełni rozrywkowy, jakich brak odczuwamy ostatnio.

Oczywiście siła działania tego optimum zależy od dbałości o wypracowanie wszystkich elementów dzieła scenicznego. Mimo wyrażonej troskliwości — teatr poznański nie ustrzegł się usterek, które nieco obniżają wartość spotkania z

brej, szczerzej zabawy, niwelujący dystans rampy scenicznej. Pierwsza na miejscowym terenie kreacja Kazimierza Fabisiaka (Orgon) należy do najbardziej udanych osiągnięć komediowych sceny poznańskiej w bieżącym roku. Prezentowała zarówno walory ściśle komediowe w słowie, śpiewie i ruchu, jak też ostry posmak obyczajowy, ilustrację typowego dla epoki przykładu „czerepu rubasznego”. Równie cennym nabytkiem dla teatrów poznańskich okazał się, przybyły z Bielska, Bogdan Zieliński, w nieco egzotycznej roli Fintaka, warszawskiego Figara. Tancząca rokokowa lekkość Zielińskiego i zdolność przemian famulusa, podszycającego się w każdym akcie pod coraz to inną postać, nadała tempu sztuki pożądaną warłkość. Jedynie w trzecim wcieleniu Fintaka, w masywnej postaci podstolanki Suchotnickiej można by mówić o pewnych przerysowaniach groteski. Panie Blanka Orszańska i Zofia Steer sprawiły miłą niespodziankę, ujawniając nieznaną do tej pory rozległe możliwości w dziedzinie komedii stylowej. W mniejszym stopniu osiągnął to T. Pluciński jako kochanek Filinta.

Scena poznańska cierpiała w ostatnich miesiącach ubiegłego sezonu na jednostajność repertuarową. Sztuki z pewnych kręgów tematycznych, jak tramwaje w wierszu Swiatopelka Karpińskiego, chadzały stadami. I tak w ciągu przedwakacyjnego kwartału ujrzeliśmy pod rząd wyłącznie 4 czy 5 demaskatorskie sztuki antymieszkańskie. Ważne z uwagi na ciągłą jeszcze aktualność ich ataku, na ciągle niestępione ostrze krytycyzmu społecznego, jedna po drugiej poczynają — żeby użyć terminu medycznego — „immunizować” widownię. Już to istotnie dawkanie szkolek działa lepiej w medycynie niż w układzie repertuaru scenicznego. „Balik gospodarski” szczęśliwie przerwał tę jednostronność. Jako pozycja lżejsza będzie obok „Grzechu” Zeromskiego i przygotowywanego „Najazdu” Korcellego cennym dopełnieniem programu teatrów we wrześnieowych „dniach Poznania”.

Leszek Prorok



„Balik gospodarski” Franciszka Zabłockiego. Akt I, Zofia Steer (Katia), Kazimierz Fabisiak (Orgon), Bogdan Zieliński (Fintak) fot. Z. Maksymowicz

ujrzemy „prezentację” w narodowym guście. Okazuje się, że w jednym i w drugim tkwi ziarno prawdy. Po scenie wśród kilku cudzoziemskich peruczek miota się kontuszowy szlachcica.

Opera komiczna Franciszka Zabłockiego ukazuje wiele ciekawych momentów rozwoju polskiego teatru. Jest rok 1780. Scena narodowa jeszcze w powijakach. Brak rodzimego repertuaru. Jego zaczątki gromadzą pracownicy Ks. Fr. Bohomolec, Fr. Zabłocki i kilku innych. Teatry grywają głównie przekłady obcych sztuk, przeróbki, a raczej „przepol-szczenia”. Ten archaiczny zwrot najlepiej oddaje istotę zabiegów literackich przy nadaniu rodzimego kolorytu i problematyki obcej fabule i Intrydze. Zatem pierwociny we wszystkich dziedzinach teatru, lecz figury, charaktery i sytuacje, które weszły wówczas na scenę polską, zagnieździły się na niej trwale. Będą żyć w licznych przetworzeniach aż do ukształtowania się w klasyczne, niepowtarzalne figury Fredrowskie. Nici bliskiej paranteli łączą podstarzałego zalotnika — Orgona z „Baliku” czy Guronosa z „Sarmatyzmu” z cześnikiem Raptusiewiczem.

„Balik gospodarski” Zabłockiego, wystawiony w poznańskiej Komедii Muzycznej (inscenizacja i reżyseria K. Fabisiaka, scenografia R. Feniuka), stał się cennym dokumentem wiedzy o wczesnej fazie rozwoju polskiego teatru. Stał się cennym dokumentem... Słowa te trąca o miłe recenzentom banałem, zdradzają nieufność do wielu rewindykacji repertuarowych, do powrotu sztuk z dawniejszych epok. Wietrzy się tam — w niektórych przypadkach nie bez dozy słuszności — utwory nieporadne, nudnawe, które pozostały w cieniu poza wielką klasyką, zwłaszcza jeśli — a tak najczęściej w odniesieniu do dawnej komedii bywa — przykładamy do nich wzorzec dzieł Fredry. Pietyzm dla tradycji każe takim sztukom przyklasnąć, ale powzięcie sprawozdawcze nasiąka potem szablonem: utwór stał się cennym dokumentem...

Nic podobnego w przypadku „Baliku”. Sztuczka wciąga i bawi do końca niefrasobliwym humorem i żywiością akcji. Bawi szczerze tych właśnie, których nie interesuje jej dokumentarna zawartość. Przedstawienie poszerzyło żywotną tradycję sceniczną o ciekawy przykład „juwenili” Zabłockiego, jednocześnie

Zabłockim na gruncie matrymonialnych zabiegów szlachetki ze stołecznego przedmieścia. Usterki te dają się ogólnie sprowadzić do nierównomierności w stylizacji. Tymczasem odszukanie i odtworzenie właściwego stylu leży się do najważniejszych problemów realizacyjnych utworów które mają wzbogacić nurt zrywej klasyki.

Nad „Balikiem” unosi się atmosfera rokoka z sową kontuszową przyprawą głównej postaci Orgona. Opracowanie kostiumów i ich wykwił znakomicie to podkreśla. Od tych założeń odchyła się w szczegółach dekoracja. Pośpiech w szkicowaniu galerii portretów rodzinnych zostawił na froncie sceny podobiznę, jakby pozostała z poprzedniej sztuki („Pani Dulka na rozdrożu”), niby kontrakt czwartego małżonka pani Hesi. A szkoda, gdyż architektonika komnaty wypadła nader przyjemnie i harmonizowała z całością.

Najpoważniejszą wszakże usterką jest ubożuchna oprawa muzyczna. Opera komiczna w wykonaniu aktorów dramatycznych z natury rzeczy rzadko kiedy wykracza poza poprawność wokalną. Barwności może dodać spektaklowi muzyka. Obiektywną trudnością, na jaką w tej mierze napotkał zespół poznański, jest brak oryginalnej XVIII-wiecznej muzyki Kamieńskiego. Współczesna kompozycja A. Półwieża jest „ni-jaka”, oscyluje między skąpych reminiscencjami z epoki Orgonów a bezbarwną łatwizną. W tej sytuacji wiele mogłoby uratować stylizacja instrumentalna: szpinet czy klawesyn z tercetem lub kwartetem smyczkowym Tymczasem słyszeliśmy pianino z dodatkiem bębna, czasem odzywał się triangel. Ta nikłość oprawy muzycznej, szczególnie dziwna w mieście, które dysponuje jednym z największych w Polsce zbiorów starych instrumentów i plejadą fachowców, budziła, niestety, wspomnienia prowincjonalnego kina z doby filmu niemego. Odbijała rażąc od efektownej stylizacji kostiumów, dekoracji, a nade wszystko od gry aktorskiej.

Obsada bowiem potrafiła od pierwszych chwil uchwycić ton właściwy, jedyny dla tego rodzaju opery buffo, i łączyć osoby Zabłockiego z publicznością w jeden wspólny nurt do-

Księga przyjaźni

(Dokończenie ze str. 3)

pisana na welinowym papierze. (...) Polacy mogą jednak przegrać mimo swojego pięknego zapalu. Ale tyran nie zyskają nic, prócz jednego przekleństwa więcej. Kto ma jakiegoś Boga, ten się modli, a kto ma, że się modlić, ten modli się tylko za Polskę...“

A oto wezwanie Heinricha Laube: O, śpiewajcie, śpiewajcie ludzie znad Sekwany i znad Tamizy, wysyłajcie wie legiony pieśni, aby wieść o polskiej chwale i nieszczęściu

nie zaginęła i napominała, napominała, jak najzarliwszy wśród wiernych.

Tak wołał poeta niemiecki w książce pt. „Polska”, za której śmiałą, oskarżycielską treść, skazano go na więzienie w twierdzy.

Nie były to tylko patetyczne inkacje bez coraz bardziej dokładnego pojmowania historii i praw rządzących. Im dalej w czas, im bliżej współczesności, im szerzej rozchodzą się słowa manifestu Marksa i Engelsa, tym precyzyjniej widzą przyjaciele niemieccy ideę solidarności międzynarodowej.

Georg Herwegh w „Wezwaniu do polskich demokratów w Paryżu” stwierdza w 1848 r.: „Idziemy razem wspólną drogą i nasze losy są z sobą związane — nasze zawołanie bojowe na dzisiaj brzmi: nie ma wolnych Niemiec bez wolnej Polski, nie ma wolnej Polski bez wolnych Niemiec!”

A Gottfried Kinkel w swej pracy pt. „Odrodzenie Polski — siłą Niemiec” (wyd. w Wiedniu 1868 r.), zastanawiając się nad przyczynami niepowodzeń naszych powstań narodowych, widzi już klasowe podłoże: „Powstania polskie nie udawały się dotychczas, ponieważ nie brały w nich udziału masy chłopskie. Dopóki chłop był niewolnikiem, nie mógł skryształizować w sobie polskiej świadomości narodowej. Pierwsze powstania w Polsce były organizowane przez szlachtę, w ostatnich uczestniczyli odważni mieszczańscy; dopóki do tych ruchów masy chłopskie, a nie pokona rewolucyjnej Polski!”

Z pełniejszym też zrozumieniem praw rządzących historią zwraca

się w sprawie Polski do swych braci niemieckich Adolf Heinrich Strodtmann, który został usunięty z uniwersytetu za pochwalny wiersz dla Kinkela, zmuszonego do wyemigrowania z kraju. W utworze pt. „Dla Polski” woła do narodu niemieckiego:

Zbudź się narodzie, rozstrzygnięć bije chwila! Biada ci, jeśli nie zbudzi cię jej głos! Wszak i za ciebie Polak krew swą wylał, W Polsce rozstrzyga się i Niemiec przyszły los!

Jeśli pamięta się, że tacy ludzie, jak Kinkel czy Strodtmann pisali tak o polskich sprawach w przeddzień prawie organizowania przez ich późniejszych możnowładców „Drang nach Osten” i bismarkowskiego „Kulturkampf”, jeśli wyczyta się w przypiskach wydawców, że musieli za swe przekonania siedzieć w więzieniach lub uciekać z ojczyzny — wyraźniej występuje ich prawdziwość, wyraźniej demaskuje się historyczny mit odwiecznej nienawiści narodowej.

Jeśli pamięta się atmosferę zaszczoną fałszem dni pierwszej wojny światowej, tym wyraźniej występuje jaskrawa różnica między hasłami polityków, walczących w obronie swoich interesów klasowych, a głosem nieotumanionej części narodu, który wie, że tam jego dobro, gdzie wolność i sprawiedliwość. Warto, pamiętając o tym, pochylić się choćby nad niedopracowanym artystycznie wierszem Siegnunda Osvalda Frangora, który w r. 1914 pisał entuzjastycznie do Polaków, podejmujących nową walkę o swój niezawisły byt narodowy:

Wzniesicie wysokie polskie sztandary Zwrzycie szereg przy dłoni dłoń. Niech krwawy tyran pochyli skroń Przed dumnym dźwiękiem waszej fanfary!

Takich wierszy, takich dokumentów zawiera antologia „Für Polens Freiheit” całe setki. Bogaty dział współczesnej literatury niemieckiej o Polsce, mądre i głębokie wypowiedzi głównych teoretyków i głosnych bojowników o nowy świat sprawiedliwej społeczności, ciekawe fragmenty pamiętników i listów — wszystko to prosi się o cytaty i choćby publicystyczne próbki przekładu.

Tu ograniczyć się wypadło tylko do mniej znanych, a przez to bardziej przyciągających uwagę. Nie sposób jednak oprzeć się sugestii, że na przyswojenie mowie polskiej — zasługuje cała księga.

Z tej księgi bowiem wiele się można nauczyć, może ona spełnić i spełnić powinna w życiu kulturalnym i politycznym obywateli narodów rolę cennego przypomnienia, zubożenia i umocnienia krzepnącej z każdym dniem solidarności.

„W tej niezwyklej, krzepiącej książce — polityka i poezja złączyły się z sobą nierozdzielnie, tak jak nierozdzielnie związane są z sobą w życiu; słuszną, głęboko patriotyczną, a jednocześnie prawdziwie internacjonalistyczną — i przez to właśnie zwycięską polityką, jak również głęboko narodową, a jednocześnie prawdziwie ludzką, humanistyczną — i także — właśnie przez to zwycięską — poezją” — pisze Kruczkowski we wstępie do tej książki.

Ta siła wewnętrznej spójności, siła odkłamująca fałszywe mity historyczne sprawi na pewno, że tak pomyślana księga przyjaźni spełni swoje piękne zadanie.

Wnieśmy ją w nasze życie jako nakaz ciągłego pogłębiania i ciągłego rozbudowywania pięknej i słusznej idei solidarności między narodami miłującymi wolność, sprawiedliwość i pokój.

Leszek Krzyszkowski

Zygmunt Lichniak

Mądry schematyzm

(Dokończenie ze str. 7)

Jać to, co stare — tak, towarzysze! Ale w taki sposób niszczyć, tępić i rozbijać, aby uzyskać dobry załazek nowego” — mówi jeden z bohaterów (str. 225). „Jest nad czym myśleć, nie? Nie umiem tu jeszcze sobie wszystkiego wyjaśnić. Stare czasy, w porządku. To rozumiem. Spotykasz człowieka i od razu widzisz, jak na dloni: to a to jest w nim stare. Bijemy w to stare. Ale czy po drodze nie przylepiają się do nas nowe skrzywienia? I jakie? I dla czego? To jest, widzisz, zagadnienie...” (str. 251). Jest. Nie byle jakie. I dobrze, że przywódcy „Wojny” zastanawiają się nad nim. „Wojna skuteczna” umie być książką poważną...

*

NA ogół jednak śmiejemy się z przegrod Zadufków na tej najdziwniejszej z wojen. Teki radosny, optymistyczny śmiech występuje jedynie wówczas, gdy człowiek „albo posiada świadomość zwycięstwa, albo opiera się na niezachwianej pewności, że zwycięstwo osiągnie”. Zakończenie pierwszego tomu jest przeniknięte taką właśnie pewnością. Przy pomocy humoru „Wojny skutecznej” nie bronimy się bowiem przed starym, ale przy pomocy tego humoru bijemy stare.

Nie jest łatwo myśleć całą pełnią. Przeciwnie: jest to trudne i, jak wszystkie sprawy trudne, również ryzykowne. W „Wojnie skutecznej” nie brak pomyłek i artystycznych niedociągnięć. Lecz któż powie, że trud i ryzyko odważnego myślenia nie stanowią o twórczej sile artysty? Pisząc „Wojnę skuteczną” Andrzejewski dał tej sile niezaprzeczone dowody. Śmiech „Wojny skutecznej” będzie zwycięski i zwyciężający — tak jak jej powstanie będzie wydarzeniem w powojennej literaturze polskiej.

Szkoda, że miejsca coraz mniej. Bo lista problemów, które by warto poruszyć na marginesie tej ciekawej książki, zmniejszyła się dopiero o kilka. I to przedstawionych bardzo po-bieżnie. Pozostaną do omówienia zagadnienia różnorodności — a co najmniej dwójności — stylizacji zastosowanej w powieści. Zagadnienia stosunku akcji powieściowej do pozostającego poza nią materiału „dygresyjnego”. Sprawy budowy opowiadania i sprawy tak zwanej „wpływowologii”. Bogactwa uczuć i różnorodności typów humoru. Może wrócićmy jeszcze do tego. „Wojny skutecznej” ukazał się bowiem dopiero pierwszy tom.

U Dolnośląskiej Melpomeny

Kanikuła! Dolnośląska Melpomena rozesłała swoich artystów na wczasy. W teatrach drzwi zamknięte. Pusto. Co prawda wczasy są przetasowane: jedne teatry w lipcu, inne w sierpniu. Publiczność zatem nie odczuwa przerwy, a na szczęście nie składa się ona, jak ongiś, z ludzi, którzy niewiele robiąc przez trzy kwartały, w czwartym pod żaglami letnich upałów w mieście i pod hasłem towarzyskiej mody — odpływały na wilegiaturę, decydując tym samym o sezonowej bezczynności teatrów. Bo to była sfera, która tworzyła teatralną atmosferę. W tzw. podówezas „sezonie” — Melpomenie pospół z Talią a zwłaszcza Terpsychorą, Muzą sprofanowaną, której grecką nagość, będącą czystym płomieniem rytmu, gust mieszczczyński uczynił pikantną półnagością, — otóż tym trzem paniom — Melpomenie, Tali i Terpsychorze, wezwawszy na pomoc gipsowych satyrów, którzy rymy były oblepienie fryzy nadkurtynowe, kazano dąć we fletnie mieszczczyńskich i przestarzałe feudalnych upodobań. Lecz, gdy „sfera miarodajna” wyjeżdżała na „dacie”, Muzy za szywano w pokrowce. Godne jest zapewne uwagi, że nie kto inny, tylko Sienkiewicz często pomawiany o ugodę z „mydlarsko-filistrską rzeczywistością” w jednym z listów do Kozakiewicza zastrzegając się i odzignywał „incognito” od wszelkich tłumnych owacji i rozhuśtanego afektów plutokratyczno-elitarnych. Te gusty nie były w jego guście. Wprawdzie znatowanymi przez czas w swej aktualnej jaskrawości klasyków tolerowano, lecz sztuki współczesnych pisarzy trafiały nieraz pod ostrzał rozgrywek klasowych. I właśnie Sienkiewicz w swych „mieszczaninach literacko-artystycznych”, mówiąc o Wiktorze nie Sardou, o jego sztuce *Damel Rochat* (wyróżnienie wstecznej) zanotował fakt klasowego podekscytowania: „Jakoż istotnie utworzyły się dwa obozy; jeden złożony z arystokracji i ze wszelkich żywiołów konserwatywnych, który sztukę podtrzymuje; drugi postępowy, republikański, który nad nią świszcze”.

Kanikuła! Gdy się oderwie oczy od starych tekstów a szczególnie ilustracji zatajonych w rocznikach *Kłosa*, *B'estady* i co leciwyszy egzemplarzy *Tygodnika Ilustrowanego* i gdy się wspomni następnie bywalców ówczesnych „teatrzyków ogródkowych” przy 35°C zakutanych w stroje hermetyczne, u których kołnierzyki dokręcały się tak mocno, jak nakrywką termosy, to wzbiera gwałtownie wdzięczność dla dzisiejszych obyczajów, co pozwalają nawet wspaniałej Ćwiklińskiej słuchać we wspaniałym przeciwupalnym negliżu. Albo recenzent. Leżę sobie oto na przykład na stoku góry pod granatową ścianą boru w przybraniu arcyskąpym, wchłaniam wszystkimi porami skóry powietrze i słońce, patrzę na siwe pasma dalszych gór, na obłoki, które startują spoza nich, i czytam dwa listy od Dolnośląskiej Melpomeny. Wskroś te listy, wskroś ich przejrzyście troskę o „powszechność teatralnych przedstawień” — widzi się sprawę prastarą: teatr dla „pełnego człowieka, uczestnika mozołu dziejów” i teatr dla osobników wyizolowanych przez utarty ongiś przywilej, różny w różnych okresach. W pewnej epoce, nie tak dawnej, był to teatr dla „pięknoduchów”, dla natur, o których Róża Luksemburg pisała w *listach z więzienia* z nieukrywaniem wstrętem: „po dziwiach (ich) z wewnątrz odraża i niepokojem, bo moja natura sprzeciwia się właśnie wszystkiemu, co jest perwersyjne i dekadentkie”. Mo numentalność, rzetelna wielkość są po stronie „teatru powszechnego”. Po stronie przeciwnej — smaczki, kombinacje formalne, pikantaria. Wawrzyn Aischylosa i Sofoklesa wyrósł z wawrzynu igrysk olimpijskich, w których uczestniczył lud cały. Ryszard Wagner niejednokrotnie, zwłaszcza zaś w *Sztuce i rewolucji*

odślaniał perspektywy teatru kolosalnego, „teatru majestatycznych wzruszeń”. Pilny uczeń Ernesta Grodecka, młody Mickiewicz, we wstępie, którym opatrzył tomik *Ballad i romanów*, ubolewa nad tym, że mędrzy aleksandryjscy uczynili ze sztuki piarskiej zabawę bogatych próżniaków, gdy przedtem dzieła wielkich poetów były własnością ludu. Cyprian Norwid, który w *Milczeniu*, w przekładzie *Odyssey*, w *Promethidionie* oraz w licznych lirykach wykazał tyle wytrwałego hellenizmu — wśród tragików greckich przyznał pierwszeństwo Aischylosowi między innymi za to, że był najmocniej zrośnięty z potężnym pnem tradycji narodowej i jej świętych obrzędów. W dziesięciolecie przyjaźni z Goethem — Schiller stałe roztrząsał zagadnienia greckie i dostrzegał ich rozkorzenie w zwyczajach, obrzędach i religii „które jednoczyły szczyty greckie”. Jego wstęp do *Obłubienicy z Messyny* zawiera między innymi takie zwroty, jak ten, że chór był czcigodnym murem, który obrzędową zawartość tragedii odgradzał od pospolitości. Wielka bowiem twórczość, wchłaniając, jak to mawiano w okresie romantyzmu „pierwiastki gminne” i w ogóle surowie rzeczywistości — przetapiała go w „mocniejszy od śpiżu” aliaz, który to proces opisał Horacy w „*Exegi monumentum*”.

Takie rozmyślenia kanikularne towarzyszą lekturze listów *Teatru Dramatycznego* w Jeleniej Górze i *Teatru Młodego Widza* we Wrocławiu. Dzieje się to nie bez powodu. Z tych listów przebija dążenie, aby teatr coraz bardziej zbliżał do ludzi pracy, żeby to właśnie był „teatr majestatycznych wzruszeń”, teatr, którego nowi „mędrzy aleksandryjscy” nie uczynią już nigdy „zabawą bogatych próżniaków”, który na wzór teatru greckiego zrośnięty będzie z „potężnym pnem tradycji narodowej” i w którym chór tragiczny iście Hezjodyczne „prace i dnie” epoki „czcigodnym murem” odgrodzi od pospolitości. Uehonorować trzeba sam kierunek, sam impet ku monumentalności bez względu na pomyłki i uchybienia w działaniu praktycznym. Wiele jeszcze plew bierze się za ziarno. W każdym razie o ilej bardziej cenna jest dzisiejsza radość *Teatru Dramatycznego* w Jeleniej Górze wyrażona tak lakonicznie w zdaniu: „...przekrój społeczny widowi wyraża się 95% widzów ze środowiska robotniczego”, niż onegdajsze zadowolenie różnych dyrekcji, że spreparowano smakołyk dla „wybranych”. W ogóle z rachuby kierownictwa artystycznego całkowite wypadła cyfra „znawców i smakoszy”. Oto na przykład statystyka frekwencji *Teatru Młodego Widza* we Wrocławiu: „Jeśli chodzi o przekrój społeczny widowni, to można określić w przybliżeniu, że łącznie z przedstawieniami dziecięcymi (lalkowymi) przedstawia się następująco: dzieci — 25% do 30%, młodzieży starszej — 20%, robotników — 20%, inteligencji pracującej 25%, chłopów 5%. Dane te odnoszą się do przedstawień w siedzibie i są bardzo przybliżone”.

Weźmy teraz realne wyniki pracy tych obu teatrów, które mi użyczyły materiałów. *Teatr Młodego Widza*: „W pierwszym półroczu rb. tj. od dnia 1 I do 30 VI 53 r. grane były na naszej scenie następujące sztuki: w sekcji dramatycznej: *Łoś* i *Szumańska Tor przeszkód*, *Roman Bratny* — *Sześć godzin ciemności*, *Zelenay i Zdanowicz* — *Sprawa o przewisko* według *Gogola*, *Aleksander Fredro* — *Cudzoziemczyni* i *Damy i Huzary*, *Franciszek Zabłocki* — *Żółta szlafmyca* w sekcji lalkowej: *Zaborowski* — *Zielony mosteczek*, *Gajdar Czuk i Helk*, *Iłowski* — *Podarek Dziadka Mroza*, *Preobrażeński* — *Kubus w przedszkolu*, *Clis* — *Blyszczący klucz*, *Frant*, *Bursiewicz* — *Sambo i Lew*, *Makarczyk* i *Ryl* — *Aladyn 1001*. Frekwencja na przedstawie-

niach była na ogół dobra. Największą ilość przedstawień w sekcji dramatycznej osiągnął *Tor przeszkód* (ponad 100 przedstawień), w lalkowej *Czuk i Helk* (ponad 60 przedstawień). Przy opracowywaniu polskich sztuk współczesnych istniała we wszystkich wypadkach ścisła współpraca Teatru z autorami, którzy przyjeżdżali na próby i udzielali wszelkich wskazówek i informacji. W wypadku *Sprawy o przewisko* współpraca z adaptorem była tym ściślejsza, że obaj oni są współpracownikami Teatru (reżyser i kierownik literacki). „Teatr Dramatyczny w Jeleniej Górze taki sporządził bilans półroczny: „W ciągu ubiegłego półroczu odbyło się 476 przedstawień, na które składa się 12 sztuk, w tej liczbie 5 wznowień. *Rodzinka* — *Jurandota*, *Sprawa rodzinna* — *Lutowskiego*, *Niespokojna starość* — *Rachmanowa*, *Balil gospodarzki* — *Zabłockiego*, *Trzydzięci śrebrników* — *Fasta* — są to wznowieńia z 1952 r. W roku 1953 wystawiliśmy dotąd *Grzech* — *Zeromskiego* (100 razy), *Reuzor* — *Gogola* (71 razy) *Pociąg do Marsylii* — *Gruszczyńskiego* (44 razy), *Ruchome piaski* — *Chojnowskiego* (66 razy), *O krasnoludkach i sierotce Marysi* — *Konopnickiej* (24 razy), *Profesja pani Warren* — *Shawa*, *Magazyn mód* — *Kryłowa*. Z tej liczby 4 sztuki (*O krasnoludkach i sierotce Marysi*, *Pociąg do Marsylii*, *Profesja pani Warren* i *Magazyn mód*) pozostają w repertuarze nadal jako niewygrane. O powodzeniu sztuk świadczy powyżej umieszczony wykaz ilości przedstawień. Największą liczbę przedstawień osiągnął *Grzech* *Zeromskiego*. Współpraca autorów przy wystawianiu sztuk była dość nikła. Reżyser nasz przeprowadzał jedynie wstępna rozmowę z autorem *Sprawy rodzinnej* — *Lutowskim*”.

Wnioski z tych liczb i faktów „czuły czytelnik” łatwo w „duszy swej dośpięwa”.

Zamiary na przyszłość. *Teatr Młodego Widza*, który ma w osobie *Tadeusza Zelenaya* pełnego dyskrecji i umiara kierownika *Ettrackiego* i który świeżo pozyskał *Adolfa Chronickiego* jako dyrektora, sformułował swoje projekty, swoje plany na der przejrzyste i logiczne: „Na pytanie odnośnie zmian w zespołach artystycznych to należy podkreślić, że nowa dyrekcja Teatru zamierza podnieść zespół zarówno pod względem jakościowym, jak ilościowym. W tej chwili dyrekcja rozpoczyna robić starania o uzyskanie możliwie największej ilości dodatkowych etatów, bez których trudno będzie zrealizować nasze zamierzenia i plany repertuarowe. W planach dyrekcji leży częściowa lecz dość radykalna zmiana specyfiki Teatru, który musi się stać teatrem o „wrażym o bliczu młodzieżowo-dziecięcym. Dyrekcja Teatru chce skończyć z chwilej nością repertuaru, wprowadzić jak największą ilość młodzieżowych sztuk polskich oraz radzieckich. Przewiduje wystawianie widowisk dziecięcych (udramatyzowane bajki) w żywym planie, a nie tylko, jak to było praktykowane dotychczas, wyłącznie na scenie lalkowej. Jeśli chodzi o repertuar klasyczny, to Dyrekcja Teatru planuje wystawianie dzieł najlepszych, najbardziej charakterystycznych epoki, zwłaszcza zaś przewidzianych w programach nauczania szkolnego”. Horyzont przyszłości w *Teatrze Dramatycznym* w Jeleniej Górze jest bardziej mglisty. Słabo go bowiem rozświetla następujące zdanie: „Co do zmian w składzie artystów w nowym sezonie — przewiduje się zwiększenie zespołu. Istnieje projekt wzmocnienia obsady przez gościnne występy aktorów”.

Dwa listy Dolnośląskiej Melpomeny (wraz z lirycznymi glossami) zostały przeczytane do końca. Teraz, jak to radzi *Sokrates* w *Uczcie Platona*, trzeba posłuchać grania pasikoników, chłodząc jednocześnie sto py w strumieniu górskim. *Jag*

Żniwa w górach

(Dokończenie ze str. 1)

tów oprócz argumentów rzeczowych, w postaci osiągnięć wspólnej gospodarki.

Ci ludzie — to zazwyczaj dobrzy i pracowici gospodarze, ceniący jednak możliwość dysponowania sobą, własnym czasem i dorobkiem na de wszystko. Ich przejście na nową drogę wiąże się ściśle z momentem powstania w danym kolektywie naprawdę lepszych warunków bytowania. To zaś w spółdzielniach górskich — gospodarujących na glebach lichych, w klimacie niekorzystnym i najczęściej w bardzo ciężkich warunkach — nie jest ani łatwe, ani proste.

JEDNYM z argumentów, którymi kolektywne rolnictwo naj silniej oddziaływa na psychikę otoczenia, jest mechanizacja. Problem ten jednak stosunkowo łatwy i prosty na nizinach — tu, w górach, komplikuje się mocno i wymaga wybitnie troskliwego rozpracowywania.

Gdy wiosną roku bieżącego szedłem przez zaorane traktorami pola kilku spółdzielni górskich, spotykałem chłopów, którzy chodząc tu i tam badali pracę maszyn, tropiąc wszystkie jej pluse i minusy. Słuchając ich wypowiedzi wartościujących jakością traktorowej orki kolektywu zajęję w ogóle zrozumiałem, jak potężnym argumentem nowego czasu jest maszyna pod warunkiem, że pracuje dobrze i dokładnie.

I teraz znów, asystując pracom żniwnym, widzę to samo. Gdy umilkła maszyna i cisza legnie na polach, wychodzą na świeże ścierniska chłopcy i śledzą pilnie jakość traktorowej koshy. Aby się zachęcić i przybliżyć lub zrazić i cofnąć.

I temu też dziwić się nie ma potrzeby. Tereny te zasiedlone zostały przez byłych biedaków, którzy jak *Solakowa* nie mieli nic, lub prawie tyle, co nic. Dla ludzi tych problem chleba był przez długie lata problemem zasadniczym i jedynym. Troška i głód nauczyły ich mistycznego niemal szacunku dla każdego kłosa, bał dla każdego ziarenka. Dziś problem głodu stał się dla tych ludzi tylko smutnym wspomnieniem, a chleb przestał być marzeniem, lech co dnia na stole w dostatecznej ilości. Pozostał jednak wyolbrzymiony w tamtych latach kult ziemi i zboża.

Widzę jego idealny skrót w płomiennym błysku oczu *Wojtasa*, gdy kładąc snop wyhodowanej w trudnych warunkach pszenicy uśmiecha się doń jak matka do pierworodnego. Widzę go w momencie, gdy *Smoleń* upuściwszy chleb na ziemię podnosi go skwapliwie i całuje z czcią, przepraszając za zniewagę. Widzę go na drodze, gdy *Kotarba*, wożąc snopy do stodoły, idzie za wozem i podnosi każde kłoseczko. Słyszję jego dźwięk w gniewie wiedzmy *Krudowej*, gdy przeklina w żywe kamienie sąsiadkę za rozdziobany przez kury snop orkiszu. I słyszję go jeszcze w słowach *Solakowej*, gdy podnosząc na spółdzielczym polu wgnieciony kołami traktora kłos, mówi do brygadzysty:

— *Grasownicy* jesteście, nie umiecie szanować daru Bożego.

I długo się będzie przyszyły mąż jej córki mozołit, nim przekona starą, że mimo starszonego tu i ówdzie kłosa plony spółdzielni poprzez racjonalną uprawę i lepsze nawożenie są grubo wyższe niż jej, przy wyzbieraniu z pól do ostatniego kłoseczka. Twarz starej wygląda się dopiero w momencie, gdy zabiera głos córka twierdząc, że kłosa przecięz wyzbierać może dziecienna brygada żniwna, której taką właśnie pracę pięknie przedstawił radziecki pisarz *Pawlenko* w powieści pt. „W ste powym słońcu”.

— *Staszku* — mówi do brygadzysty *Solakowa* — znów zbliżę się do Was o krok, gdy zobaczę na spół

dzielczym polu spółdzielcze dzieci zbierające spółdzielcze kłosa.

I jeszcze raz zachmurzy *Solakowa* swą dobrą twarz, gdy zobaczy u stóp potężnej sterty traktor i młocarnię.

— Do smętka z tymi maszynami — szarpie się nerwowo. — Gdy tak na szczerym polu robi się omłoty, ile to zboża idzie na marne...

I znów trzeba żarliwego wykładu brygadzysty i ciepłych słów *Marysi*, aby rozproszyć obawy starej matki i uspokoić jej piękną troskę o chleb, którego tak wiele potrzeba budującym się miastom i fabrykom.

Odchodząc słyszję jeszcze słowa *Staszka*:

— *Wiesz, Maryś*, a jednak matka ma dużo racji. Wielu traktorzystów, jak i wielu spółdzielców stawia przede wszystkim na ilość i szybkość, mniej dbając o jakość. Będę musiał mocniej przycisnąć moich chłopaków, aby wkładali w swą pracę najwyższą dbałość i rzetelność. Zrozumiałem bowiem właśnie, że praca traktorzysty to nie tylko walka o plan i plon, ale także walka o ludzi.

Z czubka wysokiej hali, na której gazduje stary druh z lat wojny i partyzantki *haca Wnęk* i jego wielka „rodzina” — trzysta spółdzielczych owiec — patrzymy w dół, na leżące w nieckach dolin osiedla. *Jastrzębik*, *Szczawnik*, *Złockie* i *Muszywa*, a dalej *Powroźnik*, *Krynica*, *Tylicz* i oby dwie *Mochnaczk*.

Sierpniową spiekotę rozrzedza wiatr znosząc pomieszane zapachy zboża i spalin. Wszystkie doliny, jak piersi olbrzymów, tętnią zapalczwym pulsem żniwnego trudu. *Miaro* wy bełkot motorów, spazmatyczny skowyt młocarni i cichy chrzęst żniw wiarek — potężna melodia nowych żniw przelewa się korytami dolin bujnie jak młodość.

Obok na wąskich grzędach niw skromnie i cicho, statecznie i skrętnie odprawia żniwa stara wieś. *Dźwignęca* po staremu kosi i uśmlechy, a pot, stony ludzki pot, kropkami ciepłymi jak ży, cieknąc obficie zrasza ziemię i snopy.

Za rzeką i granicą młoda dziewczyna pilnując stada gęsi śpiewa piskliwym głosikiem starą *łemkowski-słowacką* pieśń:

Moja myła hde ty była wczera,
był ja w tebe — ne było tia doma.
Oj paśa ja pri Dunaju husy,
kto mia lubyt — tot mia wziaty
musyt...

Jakby w odpowiedzi rozlega się śpiewka traktorzysty, który właśnie podjechał ku młocarni z dwoma przyczepami:

Nie nie mam, nie nie mam
i o nic nie stoję,
tylko to co kocham
żeby było moje...

NADCHODZĄCY zmierzchn osnuwa granatowym cieniem góry i lasy. W dolinach niebieszcą się blaszane kopuły kościołów i lśnią świeżą czerwienią dachy potężnych budowl. Tu piękna szkoła wspólna dla dwóch gromad, tam stodoły, obory, chlewnie i owczarnie. Pierwsze owoce wspólnego trudu i pierwsze fragmenty wielkich zdarzeń, które dzieją się tu zaczęły po to, aby ze zgitych bark zdjąć brzemień trudu i zmietoszone troską twarze wygładzić ciepłym dotykem dobrobytu.

Mijam właśnie spółdzielcze pola, gdy z wieży kościoła wytryska srebrny gejzer dzwonu — na *Anioł Pański*. I widzę jak *kędzierzawy* traktorzysta macha szeroko umorusaną ręką czyniąc znak krzyża, a *Solakowie* na własnym i szpakowata para spółdzielców na wspólnym klekają na chwilę, odpowiedzieć na apel dzwonu cichym szepem modlitwy.

Józef Bieniek

Kilka słów o:

teatrze

75-LECIE URODZIN NEJEDLEGO



Wybitny czeski uczy-
ny i krytyk, autor
książki o historii
narodowego teatru,
prof. Zdenka Ne-
jedlego obchodził niedawno 75-
lecie swych urodzin. Uroczys-
tość z tej okazji odbyła się nie
tylko w Czechach, lecz
także w Moskwie, gdzie stara-
niem Komitetu Słowiańskiego
oraz Instytutów Historii i Slo-
wianoznawstwa przy Akademii
Nauk zorganizowano uroczystą
akademię. Profesorowie Gundor-
row i Trefłakow zapoznali
słuchaczy z życiem i działal-
nością sędziwego jubilat.

ANGLIA WCIĄŻ BEZ TEATRU NARODOWEGO

„Brytyjska Liga Dramatu“
zorganizowała niedawno w Lon-
dynie konferencję, której ce-
lem było omówienie aktualnych
zagadnień angielskiego teatru.
Uczestnicy tego zebrań zajęli
się przede wszystkim sprawą
budowy Teatru Narodowego.
Mimo wybitnia w 1949 r. spe-
cjalnej ustawy budowa ta nie
została jeszcze rozpoczęta. W
związku z tym jeden z najbar-
dziej znanych aktorów angiel-
skich Ralph Richardson zgłosił
na konferencji rezolucję przyje-
tą przez wszystkich zebranych,
w której domaga się od komi-
tetu budowy Teatru Narodowe-
go natychmiastowe opracowa-
nie planów i przystąpienia do
budowy.

Ogólna sytuacja teatrów an-
gielskich jest bardzo ciężka;
często brak im środków, w
związku z czym nie mogą reali-
zować swych planów. Dlatego
na konferencji londyńskiej u-
chwalono również wniosek o
niezmniejszanie subsydiów rząd-
owych dla teatrów.

ROZPOCZĘCIE SEZONU W TEATRZE WIELKIM W MOSKWIE

1 września Teatr Wielki w
Moskwie rozpoczął nowy sezon
wystawieniem baletu Prokofie-
wa „Baśń o kamiennym kwiat-
ku“. Przedstawienie opracował
znany baletmistrz radziecki L.
Ławrowski, stronę muzyczną
przygotował J. Fajfer.

W bieżącym sezonie będzie
również wznowiona opera „Wro-
ga siła“ A. Sierowa.

W dalszej kolejności przewi-
dziane jest wystawienie opery
Beethovena „Fidelio“. Nowe
libretto do tej opery napisał N.

Biriukow. Przedstawienie bę-
dzie reżyserował W. Pokro-
wski. Przygotowywana jest
również opera Rimskiego-Kor-
sakowa „Legenda o grodzie
Kitieże“.

W tym sezonie będą wysta-
wione w nowym opracowaniu
oper „Pikowa dama“, „Tra-
vjata“ i balet „Fontanna Bach
czyseraju“.

Plastyce

UROCZYSTOŚCI KU CZCI NIEMIECKIEGO MALARZA



W roku bieżącym
przypada 400-letnia
rocznica śmierci wiel-
kiego malarza i gra-
fika niemieckiego
Łukasza Cranacha Starszego.
W całym Niemczech organizo-
wane są uroczystości związane
z tym jubileuszem, między in-
nymi zorganizowano dwie wy-
stawy jego dzieł: — grafiki w
Wittemberdze i malarstwa —
w Weimarze.

— filmie

NOWY FILM RADZIECKI „LEW TOLSTOJ“



W związku ze 125
rocznicą urodzin
Lwa Tolstoja, Cen-
tralna Wytwórnia
Filmów Dokumentar-
nych wyprodukowała nowy do-
kumentalny film „Lew Tol-
stoj“. Min. w filmie pokazano
Jasną Polanę, gdzie Tolstoj u-
rodził się i mieszkał przez wie-
le lat. Film zawiera również
sceny ze sztuk Tolstoja wysta-
wionych przez teatry radziec-
kie.

JESZCZE JEDEN POLSKI FILM W REALIZACJI

Po zatwierdzeniu scenopisu,
został skierowany do produkcji
nowy polski film fabularny pt.
„Żelazna kurtyna“. Autorami
scenariusza są Tadeusz Kon-
wicki i Kazimierz Sumerski.

Film ten został oparty na au-
tentycznych faktach przetrzutu
do Polski szpiegów i dywersan-
tów. Reżyseruje go K. Sumerski,
operatorem jest S. Korcecki.

FILMOWY „PRZEGLĄD KULTURALNY“

Wytwórnia Filmów Oświato-
wych opracowała pierwszy nu-
mer filmowego „Przeglądu
Kulturalnego“, poświęconego

plastyce. Zawiera on trzy fil-
my.

Pierwszy poświęcony twór-
czości Leona Wyczółkowskiego
ukazuje jego dzieła oraz bo-
gactwo techniki malarskiej.
Autorem scenariusza jest prof.
Samotychna.

Inżynier Jankowski opraco-
wał scenariusz drugiego filmu
ukazującego dzieje pałacu O-
strębskich, gdzie obecnie znaj-
dzie się siedziba Instytut Cho-
pinowski.

Trzeci film, opracowany
przez T. Makarczyńskiego, nosi
tytuł „Ulica Długa Starego
Gdańska“. Opowiada on o his-
torii tej ulicy, której każdy
fragment jest żywym świadec-
twem polskości Gdańska.

„Przegląd Kulturalny“ zrea-
lizował Stanisław Lenartowicz,
autorem zdjęć jest Zbigniew
Matraszek. Komentarz napisał
Tadeusz Makarczyński.

Uszystkim

WYSTĘP CHIŃSKIEGO ZESPOŁU PIEŚNI I TAŃCA

31 sierpnia br. w sali Pań-
stwowej Opery Warszawskiej
wystąpił 140 osobowy Zespół
Pieśni i Tańca Chińskiej Re-
publiki Ludowej. Zespół ten ba-
wi w Warszawie po sukcesach
odniesionych na IV światowym
Festiwalu Młodzieży i Studen-
tów w Bukareszcie. Na występ
przybyli członkowie Rady Pań-
stwa i Rządu oraz przedstawi-
ciele organizacji politycznych i
społecznych. Obecnym był także
ambasador Chińskiej Republiki
Ludowej Tseng Yung chuan.

W imieniu rządu i społeczeń-
stwa serdecznie powitał gości
min. Kultury i Sztuki W. So-
korski.

Đziękując za gorące powita-
nie, kierownik zespołu kompo-
zytor Dżon Wej-czi przekazał
zebrany serdeczne pozdrowie-
nia od narodu chińskiego.

Na bogaty program wystę-
pów złożyły się pieśni i tańce
ludowe oraz fragmenty z kla-
sycznych oper chińskich.

WŁOSKIEJ BIBLIOTECE NARODOWEJ GROZI ZAWALENIE

Biblioteka Narodowa w Rzy-
mie jest obecnie przedmiotem
ożywionych dyskusji, których
źródłem jest groźba zawalenia
się, pod ciężarem dwóch milio-
nów książek, ścian starego bu-
dynku. Organizacja „Il centro
popolare del libro“ organizo-
wała w związku z tym zebranie

przy współudziale naukowców,
pedagogów i przedstawicieli
kultury. Prof. Donini, który z
ramienia parlamentarnej gru-
py komunistycznej w senacie
wziął udział w dyskusji, wska-
zał na stan straszliwego zan-
iedbania i zacofania charak-
teryzującego organizację biblio-
teki rzymskiej.

Przedstawiciel Biblioteki Na-
rodowej dr. Padovani wskazał
na konieczność wybudowania
nowego gmachu oraz zażądał
przynajmniej funduszy, umożli-
wiających prowadzenie bibliote-
ki na należytym poziomie.

NOWY PRZEKŁAD ILIADY

Na Węgrzech: Gabor De-
veczeri został odznaczony
premią imienia Koszutha — za
nowy przekład Iliady na język
węgierski.

Gabor Deveczeri pracował
sześć lat nad przekładem Ili-
ady — udostępniając szerokie-
mu ogółowi czytelników węg-
ierskich prostotę i piękno ho-
merowskiego wiersza.

UROCZYSTA INAUGURACJA „DNI POZNANIA“

1 września w hali targowej
w Poznaniu odbyła się uro-
czysta sesja Wojewódzkiej i
Miejskiej Rady Narodowej,
inaugurująca obchody „Dni
Poznania“.

W wię tego dnia organizo-
wano capstrzyk. Wzięty w nim
udział tysięczne rzesze pracują-
cej i uczącej się młodzieży, któ-
ra w uroczystym pochodzie u-
dała się na cmentarz poległych
bohaterów na stokach Cytadeli.
Równocześnie z pl. Bernardyń-
skiego wystartowała w kierunku
Cytadeli sztafeta sportow-
ców z płonącymi pochodniami.
Na stokach Cytadeli, przed
namiotem poległych o wyzwole-
nie miasta żołnierzy polskich
i radzieckich, ogniem pochodni
zapalono wielki znicz.

OTWARCIE WYSTAWY KOPERNIKOWSKIEJ W TEATRZE NARODOWYM

W dn. 4 bm. w Sali Kame-
ralnej Teatru Narodowego w
Warszawie została otwarta sta-
ranie Domu Wojska Polskie-
go wystawa z okazji Roku Ko-
pernikowskiego pt. „Budowa
wszechświata“.

Po przemówieniu gen. bryg.
L. Krzemienia otwarcia wysta-
wy dokonał przewodniczący Ko-
mitetu Honorowego Roku Ko-
pernikowskiego, prezes PAN,
prof. J. Dembowski.

Do redakcji „Dziś i Jutro“

LIST OTWARTY

...23 sierpnia 1953 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Gdy się już kłębi jesienny lazurek,
Lisiec gdy świszczą dziwnie romansowo,
Chciałbym na temat miniaturki Murek *)
Powiedzieć skromne czytelnicze słowo.

Mnie takie wiersze strasznie upajają.
Widzę w nich zwięzłość, uczucie i grację —
Pływam w obłokach jak gwiazdka i anioł...
Ze trochę krótko?... Teresa ma rację.

Sam nieco piszę. Wiem, co znaczy praca
Nad kształtem większych i żmudniejszych treści!
Ale od dzisiaj wyrzucam i skracam
Żmudniejsze treści, których wiersz nie zmieści.

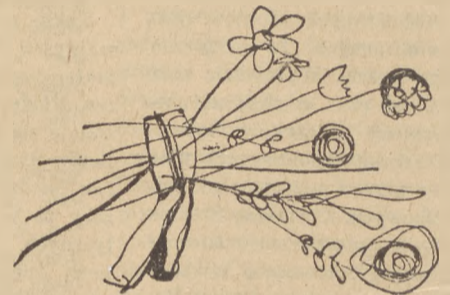
Odrzucić plewy, a zostanie ziarno:
Linie najczystsze, słowa najmocniejsze,
Wplątane w aurę dyszczą i parną —
Ja takiej aury jestem świetnym mistrzem.

Dla oceny przesyłam pięć próbek...
Może być garmond, albo większa czcionka,
Błękitną farbą proszę bić nagłówki,
A wokół wiersza niech biegnie koronka.

W razie przyjęcia mogę przejść na gałę
Stalej produkcji — nieważ płodną psycho...
Wkrótce napiszę „Trzydzieści sześć wrażeń
Wokół Polski“ i „Dystychy ciche“.

Łączę wyrazy szacunku
i 1 (słownie: jeden) czytelnik.

(—) Czytelnik - Poeta.



KWIATY

Białe kwiaty przedłużają smugę powietrza
Ocean dnia
Podaje ustom pianę zapachu...

SAMOLOT

Ukrzyżowany kawał metalu
Oddaje duszę,
Którą jest blask.

Szukałem Ciebie w pościeli białej
Nie znalazłem —
Byłaś zawieszona na wargach wiatru...
Bo czym jest ścieżka?
— Różanicem Twoich kroków.



ŚWIT

Kamienie małego miasta
Są jak siostry drobne i bojaźliwe
Dotykają czoła oddechem
Wieczornego wczorajszego ciepła.

ŁAWKI

Mówiłem Ci o ławkach
Często są jak nawy Kolumba
Niekiedy tylko
Maleją do wymiaru beczki Diogenesa.

*) patrz „Dziś i Jutro“ nr 34 (404).

Rocznice

S TO trzydzieści lat temu, 12 września 1823 r. urodził
się w Beremianach na Podolu ostatni poeta polskie-
go romantyzmu, piewca orężnej walki o wolność —
Kornel Ujejski. Wypadałoby może przy tej okazji
pochwalić go za napisanie „Maratonu“ i podać do
wiadomości publicznej, w jakiej randze i na jakim miejscu
zasiada on w panteonie literatury narodowej. Skoro jednak
mowa o jednej rocznicy, poświęćmy parę słów innej, przy-
padającej za miesiąc.

Dziewięćdziesiąt lat temu, 10 października 1863 r. stanął
Kornel Ujejski przed sądem austriackim we Lwowie. Podcią-
nięto go do odpowiedzialności za przedmowę, jaką poprzedził
wydany w 1852 r. tomik „Dla Moskali“. W przedmowie tej
bowiem poeta składał hołd rosyjskim oficerom, Potapowowi
i Aleksandrowowi, z których pierwszy złamał swą szpadą
prezestując przeciw masakrze ludu warszawskiego, drugi zaś
ukrył przyslaną z Petersburga depeszę zalecającą użycie bro-
ni białej a nawet armat przy rozpędzaniu manifestacji
patriotycznych w kwietniu 1862 r. I nie tylko tym naraził się
Ujejski c-k. prokuratorii, ale także wyróżnym i niedu-
żnym formułowaniem swych poglądów politycznych:
„Dopóki rząd i naród nie zleją się w jedno pojęcie... do-
tąd trzeba je stawiać osobno i nie brać jedno za drugie. Rząd-
dy można nienawidzić, naródowi należy przebaczać. I jeśli
wolno nam kiedy zwoływać zemstę Boga, to zawsze tylko
słowami: „O, rękę karaj, nie ślepy miecz!“

A na rozprawie sądowej, zamiast okazać skruchę wobec
przedstawicieli cesarsko-królewskiej sprawiedliwości, mówił
zuchwały „przestępca“: „Człowiek jest człowiekiem. Wolno
mi patrzeć, wolno mi słyszeć, wolno mi czuć!“

Stworzył Bóg człowieka na podobieństwo swoje: skłonił je-
go zmysły ku piękności, a tego duszę ku prawdzie. Prawda

jest pięknością moralną. W tych dwóch czynach, za których
pochwałenie oskarża mnie pan prokurator, jest wielka pięk-
ność moralna. Bódcem dla Potapowa i dla Aleksandrowa
była litość podziśniona aż do poświęcenia. Odczuje tę pięk-
ność każda dusza ludzka bez względu na różnicę religii, na-
rodowości, wykształcenia; każda dusza bez wyjątku, która
nie starła w sobie podobieństwa Bożego. Na wieść o tych
dwóch czynach tysiące serc po różnych kątach ziemi uderzy-
ło silnie; będące w upadku grzechów, podniosły się ku
dobremu, będące w upadku zwatpienia, podniosły się ku wie-
rze. I ja odczułem piękność tych dwóch czynów. Czy może
istnieć prawo, które chciałoby karać mnie za takie uczucie?“

W AZKOŚĆ tych słów podnosi fakt, że pisane były w
1862 r., w przededniu jeszcze jednej walki pode-
jmowanej „za waszą i naszą wolność“. Poezie, który
podstawową tezę swego patriotyzmu zawarł w for-
mule „Nie pojmuję miłości bez siły, zbawienia bez
walki“, obcy był szowinizm i obcy kult militaryzmu. Nie
zapominajmy, że autor „Maratonu“, wróg stańczykowskiej
ugodowości, apologeta powstania styczniowego, pisał w 1873
r. (znów rocznica!):

Gdy czcionka zabije kulę,
Znikną żołdaci i króle.
Zwaśnionym braciom rozgorzeja serca.
W tor nowy pójdą święcie i statecznie;
Duch zakróluje, którego otula
Ta nikła czcionek obstonka.
Niech w śnierć idzie to, co uśmierca;
Co daje żywot, niech żyje wiecznie —
Niech ginie kula!
Niech żyje czcionka!

S.L.